Mur tajemnic

**Autor:** Natalia Czajkowska

**Pseudonim:** Sharouz

**Typ szkoły:** 2 klasa gimnazjum, Szkoła Podstawowa nr 31 w Bydgoszczy

Rozdział pierwszy

Woda była ciepła i obrzydliwie słodka.

Natomiast wiatr wiejący w południe pięć dni wcześniej tak zimny, że nawet oddychanie sprawiało ból. Podczas gdy teraz cały świat zdawał się być stłumiony przez grubą ścianę, cichy i spokojny, wtedy wszystko krzyczało.

Wtedy Dannyl nigdy nie był tak przerażony.

Zapewne reszta załogi czuła się podobnie, ale nie chciała tego po sobie wówczas pokazać. Może nikt nie chciał wyjść na tchórza wśród pobratymców, a może każdy sam próbował się przekonać, że ręce i głos drżą mu z adrenaliny, nie stresu.

W każdym razie Dannyl zdążył już dwa razy zwymiotować za burtę, tak bardzo się bał. Nikt tego nie komentował. Grzechocząc starą, pokrytą rdzą kolczugą, powgniatanym napierśnikiem wielkości beczki - przeznaczonym dla chłopaka dwa razy grubszego - oraz dwoma za dużymi na niego nagolennikami, kręcił się niespokojnie po pokładzie statku od burty do burty, jedną ręką obejmując wykręcający się brzuch, a drugą zaciskając na rękojeści wyszczerbionego miecza. Stara, dziurawa pochwa przypięta do pasa stukała o krawędzie ochraniaczy na łydkach i odgłos ten kojarzył się Dannylowi ze szczękaniem zębów. Ostrożnie dotknął wolną dłonią swojej szczęki, aby sprawdzić, czy to on wydaje ten dźwięk.

Dzikie, piskliwe pokrzykiwania niosące się z oddali przywołały go do rzeczywistości. Przepełniony trwogą, świadom, co zobaczy na horyzoncie, Dannyl podniósł wzrok - wcześniej wbity w deski pod nogami - i ujrzał zarysy trzech wielkich drakkarów wyłaniających się z mgły na północnym zachodzie. Masywne, obite żelazem dzioby z czaszkami rogatych zwierząt na szczytach rozbijały zamarzniętą powierzchnię wody z głośnym trzaskiem i przerażającą łatwością. Przez chwilę Dannyl myślał, czy jego kości równie szybko pękną pod uderzeniem maczugi.

Odepchnął od siebie tę myśl, chcąc chociaż odrobinę przygotować się na bitwę. Wziął kilka głębokich wdechów, mimo że ból był okropny, a gdy wypuszczał powietrze z płuc, para zamieniała się w małe kryształki i od razu spadała na ziemię. Chłopak z czystej ciekawości nadepnął na nie i z zaskoczeniem usłyszał zgrzyt, jakby deptał po szybie.

- Nagolennik, do szalupy - warknął Drewniana Szczęka, stojąc nieopodal drabiny zwieszonej z burty statku, po której schodzili już załoganci pierwszej fali uderzenia. Chłopak rozejrzał się nerwowo dookoła, licząc, że ktoś inny też ma przezwisko Nagolennik, lecz nikt nawet nie patrzył w jego stronę. Z trudem przełknął gulę w gardle i ruszył do krawędzi statku. Na dole czekała na niego lodowata, ciemna morska otchłań, a na niej jedna z trzech szalup z żołnierzami.

*Za mało* - pomyślał, schodząc powoli do łodzi, uważając, żeby nie rozciąć sznurów drabiny klingą miecza. Kiedy znalazł się w szalupie, dwóch mężczyzn od razu chwyciło za wiosła i popłynęło za pozostałymi dwoma łodziami na spotkanie drakkarom. Nikt nie machał im na pożegnanie ani ze statku kapitana, ani z drugiego, starszego, który stał nieopodal.

Im dalej się zapuszczali, tym fale stawały się większe, a odłamki kry grubsze i bardziej niebezpieczne. Z boków drakkarów wysunęły się wiosła, niby setki odnóży, i trzy krypy popędziły prosto na nich. Dannyla ogarnął jeszcze większy niepokój. Nie schodzą do szalup - uświadomił sobie. To niesprawiedliwe.

Może Wilki Rhonayi nie schodził do łodzi, bo ich nie miały, albo nie chciały narażać swoich ludzi na bezpośrednie starcie z tak dużą liczbą przeszkolonych - nawet jeśli słabo - żołnierzy. W każdym razie statki mknęły przez lodowe morze, rozbijały wodę przed sobą, a pióra wioseł siekły lód z taką łatwością, jakby były rozgrzanymi do bieli kawałkami metalu. Pokrzykiwania dzikich wojowników wzmogły się i dołączyły do ogólnego hałasu, jaki tworzyły ich drakkary. Chwilę potem ten trzymający się najbardziej z lewej strony zwolnił tempo, aż wreszcie zupełnie stanął i spuścił na wodę dwie prowizoryczne szalupy po brzegi wyładowane Rhonayczykami. Dannyl nie wiedział, czy ma się z tego powodu cieszyć.

Wioślarze nie przestawali pracować ani na sekundę. Nagolennik widział, jak obaj mężczyźni wykrzywiają twarze w grymasie zmęczenia, jednak żaden z nich nic nie powiedział. Zamiast patrzyć na nich, chłopak skierował wzrok na wybrany przez jego oddział kurs. Wyglądało na to, że pozostałe dwa drakkary mknęły na spotkanie ze statkami reszty załogi, która wypłynęła z Bagien Hadwena, a trzeci wraz z dwoma szalupami płynął prosto na nich. Dzieląca ich odległość z każdą chwilą malała, aż wkrótce można było dostrzec umalowane na niebiesko, pomarańczowo i biało twarze Wilków Rhonayi. Wszyscy byli odziani w futra, na to niektórzy narzucili utwardzane skóry zwierzęce, inni szkielety łosi lub niedźwiedzi, część miała na głowach hełmy z rogami po bokach lub szczęki wilków przywiązane do twarzy, a każdy z wojowników trzymał w rękach przynajmniej dwa rodzaje broni. Poczynając od słabych, drewnianych młotków z kamiennymi końcami czy włóczni z gałęzi świerków, na zardzewiałych mieczach czy nadłamanych toporach i morgenszternach kończąc.

Dannyl poczuł ogarniający go strach i stres. Zaczął zastanawiać się, co pomyślałby jego ojciec, lord Mokrych Lasów. Zapewne byłby rozczarowany moją postawą - pomyślał z goryczą. Ednor Bucktub prawdopodobnie siedział teraz w swojej twierdzy, w jednej z bogato urządzonych, ciepłych komnat i wraz z małżonką doglądał najmłodszego syna, czasem też wyglądając przez okno na dziedziniec, gdzie dwaj starsi potomkowie ćwiczyli się w walce na miecze. Nagolennik zapragnął wrócić do niego, lecz nie po to, żeby znowu mieć dach nad głową i ciepłą strawę na kolację, a by nakrzyczeć na pana ojca i pokazać mu, gdzie go odesłał i co z nim się stało. Z czym przyszło mu się zmierzyć.

*Jestem włócznią we mgle. Mieczem poranka, który zwiastuje nowy dzień.* Czekając na najgorsze - przybycie Rhonayczyków - Nagolennik zaczął powtarzać złożoną półtorej roku temu przysięgę, gdy dołączał do obrońców na Bagnach Hadwena. Wówczas mgła spowijała kamienny krąg, gdzie klęczeli nowicjusze, ale było znacznie cieplej niż dzisiaj.

Jakiś krzyk w znanym języku wyrwał go z zamyślenia. Dannyl podniósł głowę i zauważył, że szalupy wroga są już prawie na wyciągnięcie ręki. Nie potrafił ocenić, czy to ze względu na prędkość ich łodzi, czy też siłę hadweńskich wioślarzy. W każdym razie wiadomo było, że starcie jest nieuniknione. Nagolennik wytężył wzrok, aby spojrzeć w oczy jednemu z wrogów i może go nastraszyć, lecz gdy napotkał przepełniony gniewem wzrok ogromnego, włochatego mężczyzny, poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- W moich żyłach płynie krew żelaznego świata - mówił ktoś cicho obok niego. Chłopak obejrzał się i dostrzegł zgarbionego żołnierza, którego młode lata dawno przeminęły, mruczącego złożoną przysięgę w dłonie trzymane przy twarzy. Moment później usłyszał, jak dołączają doń kolejni mężczyźni i chłopcy. Po chwili słowa przysięgi były wypowiadane przez załogi wszystkich trzech szalup coraz to głośniejszym i odważniejszym tonem. Nawet wioślarze, choć wysiłek odbierał im dech w piersiach, przyłączyli się do chóru. Dannyl znowu spojrzał w stronę Rhonayskich łodzi i z zaskoczeniem zauważył, że na twarzach niektórych z wojowników maluje się niepewność oraz strach. To dodało mu otuchy.

W pewnym momencie jedna z hadweńskich szalup odsunęła się nieco od reszty. Dowódca eskapady krzyknął coś do płynącej w niej załogi, lecz tamci nie odpowiedzieli i pośpieszyli na spotkanie z wrogiem. Z Nagolennika w mgnieniu oka uszła jakakolwiek nadzieja na zwycięstwo. Zepsują wszystko. Cały plan na nic. Jęknął cicho z rozpaczą. Szalupa rozbijała mgłę przed sobą.

- Hadwen! - uniósł się krzyk tuzina mężczyzn chwilę przed tym, jak ich łódź zderzyła się z tą należącą do wroga, a zaraz potem w powietrzu rozbrzmiał szczęk stali oraz zderzających się w walce mieczy. Kapitan siedzący w sąsiedniej łodzi krzyknął coś gniewnie do swojej załogi i pozostałe dwie szalupy pośpieszyły w kierunku płynącego na nie drakkaru.

Potem wszystko wydarzyło się strasznie szybko. Na kilka sekund przed czołowym zderzeniem z dziobem statku łodzie skręciły obie w przeciwne strony i popłynęły wzdłuż jego burt. Załoganci właśnie przygotowywali się do abordażu, kiedy z pokładu zaczęli zeskakiwać Rhonayczycy, uzbrojeni i pełni żądzy krwi. Nagolennik ścisnął rękojeść swojego miecza, niezbyt pewien, czy jest gotowy na starcie z jednym z włochatych mężczyzn w bezpośredniej walce, i czekał. Nagle szalupa stała się na tyle duża, że zdołała pomieścić dwudziestu pięciu walczących ludzi, jednak powoli schodziła na dno przez zrobioną toporem dziurę. Zrozpaczony Dannyl rozejrzał się gorączkowo dokoła, a następnie dostrzegł stopnie wbudowane w bok drakkaru. Schował miecz do pochwy, po czym skoczył przed siebie i kurczowo chwycił za krawędzie szczebli. Zerknął szybko przez ramię i zdał sobie sprawę, że szalupa w jednej trzeciej była pod wodą. Otrząsnął się i zaczął wchodzić do góry, choć wiedział, iż tam czeka go śmierć.

Gdy do wejścia na pokład zostały mu tylko dwa szczeble, Nagolennik stanął na palcach i ostrożnie wyjrzał ponad krawędź burty. Jego oczom ukazała się krwawa jatka hadweńskich żołnierzy z Wilkami Rhonayi. Po krótkiej chwili obserwacji stwierdził, że wróg przegrywa, więc od razu wspiął się po stopniach i stanął na zalanym krwią i wnętrznościami pokładzie, nagle pełen odwagi i siły. Wtem usłyszał krzyk gdzieś przed sobą, więc pobiegł tam i ujrzał tego samego starego żołnierza, co powtarzał przysięgę na łodzi, teraz z trudem odparowującego atak ogromnego wojownika. Oceniwszy sytuację, Dannyl wyciągnął miecz, po czym zakradł się za plecy wroga i gdy ten wygiął się, aby zadać ostateczny cios, wbił klingę w jego plecy, przebijając owczą skórę oraz nieumiejętnie złożoną kolczugę. Łosie kości, które miał na sobie Rhonayczyk, zagrzechotały, gdy ich właściciel osunął się na kolana, a potem na ziemię.

Starzec z niedowierzaniem patrzył to na zabitego mężczyznę, to na Dannyla, aż w końcu zdobył się na słaby, wdzięczny uśmiech. Chłopak odpowiedział mu skinieniem głowy, po czym obrócił się, aby poszukać nowego przeciwnika. Dostrzegł skradającego się w kierunku dwóch walczących wojownika, więc czym prędzej pobiegł w jego stronę. Kiedy wróg spostrzegł zagrożenie, uniósł miecz i z zaskakującą precyzją odparował uderzenie Nagolennika. Ich miecze spotkały się w żelaznym tańcu. Dannyl cofnął się o dwa kroki, po czym obaj walczący zaczęli krążyć wokół siebie powoli na ugiętych nogach. Niespodziewanie Rhonayczyk skoczył do przodu z krzykiem na ustach i starym mieczem uniesionym nad głową, jednak chłopak zdołał odparować jego cios, po czym szybko spróbował ciąć go w biodro. Klingi raz po raz wymieniały się pocałunkami, a przeciwnicy zataczali coraz to kolejne kręgi.

Nagle wojownik warknął coś w swoim języku i cofnął się o kilka kroków, z dala od burty drakkaru. Dannyl spojrzał na niego badawczo, nie opuszczając broni. Wtem do jego uszu dobiegł przeraźliwy krzyk oraz szybkie kroki dochodzące z lewej strony. Zdołał tylko dostrzec biegnącego nań niskiego, włochatego i piekielnie rozwścieczonego mężczyznę, zanim ten nie skoczył na niego i obaj wypadli za burtę prosto do lodowatej otchłani.

Dannyl próbował walczyć, ale napierśnik, kolczuga oraz nagolenniki utrudniały chociażby utrzymanie się na powierzchni. Ich ciężar znosił obu walczących coraz niżej. Rhonayczyk złapał go za ramiona, po czym ugryzł w odsłoniętą szyję. Zęby miał niewyobrażalnie ostre i długie. Nagolennik spróbował krzyknąć z bólu, lecz wtedy do gardła dostało się słone morze, i wierzgnął, starając się zrzucić z siebie albo zbroję, albo wojownika, a najlepiej wszystko. Nie zwracał już uwagi na przenikliwe zimno morskiej otchłani. Liczył się tylko ból i ciężar.

Niespodziewanie poczuł, że kolczuga w jednym miejscu zaczęła się rozpadać. Zapewne temperatura wody nie sprzyjała zardzewiałym oczkom zbroi i teraz wszystkie zaczynały pękać. Chłopak, nie zważając na szarpiącego nim mężczyznę, zaczął uwalniać się z napierśnika, a potem kolczugi. Choć czuł wzmagający się ból w płucach, co oznaczało, że nie zostało mu wiele powietrza, nie zamierzał się teraz poddać. Kopnął przeciwnika w brzuch, aby pozbyć się go na moment. Kiedy wreszcie zdołał wyjąć ramiona ze zbroi i puścić ją na dno, Rhonayczyk z powrotem znalazł się przy nim, jeszcze bardziej wściekły niż poprzednio. Szybkim ruchem, zanim Dannyl choćby pomyślał o obronie, wgryzł się znowu w jego szyję w to samo miejsce, a potem wyjął zza pasa sztylet i pchnął go w brzuch. Nagolennik poczuł niesamowite ciepło, a zaraz potem okropny ból.

Coś pociągnęło go ku powierzchni, ale nie wiedział już co. Serce łomotało w jego ciele, a płuca błagały o tlen. Ciemność powoli zawładnęła jego wzrokiem, a potem czuł tylko zimno, zimno i zimno...

Ocknął się pięć dni później, słaby, blady i obolały. Poczuł smak mdłej i ciepłej wody w ustach, jak i na całym ciele. Kiedy łapczywie zaczerpnął powietrza do płuc, wydało mu się słodkie jak miód, jednak z każdym oddechem jego brzuch promieniował bólem. Chłopak ostrożnie otworzył oczy i ujrzał nad sobą twarz jakiejś dziewczyny.

Potem znowu była ciemność.

Rozdział drugi

Fale rozbijały się na skałach wybrzeża skąpanego w blasku powoli zachodzącego słońca daleko na horyzoncie, czasem zakrywanego przez olbrzymie chmury. Morze z głębokiego granatu zmieniło barwę na pomarańczowo-złoty i błyszczało jakby wykute z diamentów. Gdzieś w górze ogromne, białe mewy wypatrywały ryb czy innych zdobyczy, pokrzykując co chwilę.

Świat wyglądał tak błogo z tej perspektywy. Arica, zapatrzona w piękny krajobraz rozciągający się przed nią, na moment zapomniała o wszystkich troskach, które ją dręczyły.

Powróciły jednak jak uderzenie w policzek. Przed oczami stanęła jej piwnica oberży w slumsach Calii, a w niej Vuko z niemowlęciem w ramionach, owiniętym w cienką, brudną szmatkę, płaczącym i wijącym się rozpaczliwie. Arica, choć w pokoju było przeraźliwie zimno, zaczęła zdejmować grubą koszulę, którą miała na sobie, chcąc owinąć nią dziecko, lecz ostrzegawcze spojrzenie chłopaka oraz pojawienie się nieznajomej dziewczyny za jego plecami powstrzymały ją od wykonywania jakichkolwiek ruchów. Zastygła z tylko jedną ręką pozostałą w rękawie ubrania i patrzyła to na dziecko, to na pozostałych.

- Dlatego kłamałeś? - zapytała tylko, powstrzymując łzy, i wciągnęła z powrotem drapiącą koszulę.

Vuko spuścił wzrok, zawstydzony, a skryta za nim dziewczyna stanęła obok niego i objęła go ramieniem, a jednocześnie uniosła podbródek do góry w wyzywającym geście i wbiła w nią uważne spojrzenie. Arica powstrzymała chęć uśmiechnięcia się pobłażliwie.

- Widziałam to w twoich oczach, Vuko. Już od jakiegoś czasu, ale... - zamilkła na moment, aby poszukać odpowiednich słów. - Musiałam być pewna. Teraz jestem.

Nie czekając na reakcję z jego strony, obróciła się i szybko wrzuciła do torby cały swój dobytek, po czym podeszła do drzwi prowadzących do głównej sali oberży. Spojrzała jeszcze raz za siebie i zobaczyła, że Vuko i matka dziecka patrzą na nie z zachwytem i troską i uciszają je cichymi, słodkimi słowami. Uśmiechnęła się krzywo, popatrzyła na błękitne oczy niemowlęcia, tak podobne do oczu jej matki i wyszła.

Wzdrygnęła się, jak zawsze kiedy wspomnienie wracało do jej głowy. Choć nie potrafiła gniewać się na chłopaka za to, że ukrywał przed nią swoje dziecko i nic jej o nim nie wspominał, teraz gdy przywoływała w pamięci jego twarz, ogarniał ją żal, smutek i rozczarowanie. Sądziła, że był na tyle dojrzały, żeby mówić jej o takich rzeczach.

*Nie mogę go winić. Gdybym wiedziała, dziecko mogło by być zagrożone* - upomniała się. Była z Vuko od prawie roku i przez ten czas zdążyła pokochać go naprawdę szczerze, a nawet wyjawić mu jeden czy dwa pomniejsze sekrety, a on... Pamiętała, jak mówił jej, że jest jedyną w swoim rodzaju, najpiękniejszą i że nigdy nie będzie drugiej takiej samej. Ale potem przypomniała sobie dziewczynę z piwnicy, matkę niemowlęcia, te gęste, złote włosy i oczy w kolorze diamentów. W porównaniu do niej Arica była najwyżej niebrzydka.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu, zamrugała więc szybko, po czym przetarła twarz dłonią. Wydarzenie miało miejsce już trzy miesiące temu, mogła już przestać tak bardzo to wszystko przeżywać.

*Ale to i tak boli.*

Zdjęła ręce z poręczy balkonu, po czym obróciła się i skierowała do ciepłego wnętrza jej pokoju. Obrzuciła smętnym spojrzeniem dwa łóżka, starą drewnianą szafę oraz wielki dół na środku podłogi, gdzie można było rozpalić ognisko, po czym skierowała się do drzwi i zeszła po długich schodach do głównej sali zajazdu.

Kiedy wyszła z klatki schodowej, od razu uderzył ją silny zapach przypraw używanych w kuchni połączony z wonią roślin służących do czyszczenia ubrań podróżnych, jeśli któryś z nich sobie tego zażyczył, roznoszący się po głównej sali, która miała kształt prostokąta. Po prawej stronie Arici rozciągała się sala zastawiona długimi, grubymi stołami z drewna hibo oraz wszelkiego rodzaju siedzeniami: stołkami, beczkami, czasem zdarzyły się krzesła, natomiast w lewej części jadalni, prawie pod ścianą stała ogromna ława wykonana z takiego samego drzewa, a za nią poukładane jedna na drugiej beczki z sześcioma rodzajami trunków, pod nią zaś bateria naczyń, z których można było pić i sporych rozmiarów topór na wypadek, gdyby jakiś klient stał się zbyt porywczy.

Idąc przed siebie, prosto do wyjścia, dziewczyna skinęła głową do oberżysty krzątającego się za ławą z beczkami, który w odpowiedzi uśmiechnął się do niej lekko, a kiedy w drzwiach pojawili się nowi klienci, Arica posłusznie zeszła im z drogi, wiedząc, że inaczej poczuliby się wielce urażeni. Nie chciała, aby Rossac stracił przez nią pieniądze. Gdy mężczyźni minęli ją, nie poświęciwszy jej choćby najmniejszej uwagi, zdjęła z haka znoszony płaszcz w kolorze błota (zapewne był też od niego brudny) i opuściła oberżę.

Na dworze powitały ją jedne z ostatnich promieni słońca, teraz oświetlających tylko najwyższe czubki budynków oraz porywisty zimny wiatr. Dziewczyna zdobyła się na słaby uśmiech, zadowolona, że ostatnie dni lata nie są deszczowe jak zazwyczaj, ciaśniej owinęła płaszczem, postawiła kaptur i ruszyła na przystań. *Mira pewnie niedługo zacznie się niecierpliwić.*

Oberża "Pod Toporem" znajdowała się niedaleko wybrzeża, toteż dziewczyna przeszła zaledwie jedną przecznicę i znalazła się na ciągnącej się przez całą zatokę promenadzie wyłożonej gładkimi kamieniami. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, choć godzina była późna - tragarze znosili towar ze statków i ustawiali go przy cumach, wioślarze siedzieli na pustych skrzyniach i grali w karty lub pili spyl, kapitanowie okrętów handlowych rozmawiali z przełożonymi zarządcy portu, a markietanki kręciły się pomiędzy nimi wszystkimi, ukazując bez skrupułów to, czego Arica w życiu nie ośmieliłaby się nikomu pokazać. Dziewczyna wyczuła też charakterystyczną dla tego miejsca woń zaraz po wkroczeniu w sunący w jednym kierunku potok ludzi. Zapach ryb połączony z alkoholem, dymem mieszanki ziół, którą palili niektórzy marynarze, potem oraz szczynami. O mało nie uśmiechnęła się, biorąc kolejny oddech. Coś w tym smrodzie sprawiało, że czuła się, jakby była właśnie tam, gdzie być powinna. *No, nie do końca. Buty same się nie naprawią.*

Zdawszy sobie sprawę, jak nisko nad horyzontem wisiało już słońce, Arica przyśpieszyła nieco kroku i zaczęła wymijać wlekące się przed nią osoby. Zwinnie omijała muskularnych, prawie dwa razy wyższych od niej tragarzy z gładkimi głowami, stare, pomarszczone handlarki wracające z targu z towarem, którego nie udało im się sprzedać oraz wszędobylskie markietanki. Nagle ktoś szturchnął ją łokciem w lewy bok, potem to samo zrobiła inna osoba, aż w końcu tłum wyrzucił dziewczynę pod ścianę budynków stanowiących granicę pomiędzy miastem a portem. Spojrzała za siebie i ujrzała szyld sklepu z grzebieniami i szczotkami z rybich kości i innych dziwacznych przedmiotów. *Jeszcze kawałek. Zdążę.* Widząc, że tuż przy budynkach nie ma aż tylu osób, ruszyła w dalszą drogę, trzymając prawą rękę na mokrych ścianach na wypadek, gdyby miała zamiar się zgubić i odrywając ją jedynie, gdy ktoś niespodziewanie wychodził ze sklepu.

Mira czekała na nią tam gdzie zwykle - na straganie pod daszkiem z niezadowolonym wyrazem twarzy. Arica uśmiechnęła się do niej promiennie, kiedy tylko ich spojrzenia się skrzyżowały, po czym szybko weszła do zakładu, aby przebrać się w fartuch i zabrać stamtąd potrzebne narzędzia, a następnie wyszła i usiadła do pracy na swoim ulubionym miejscu: beczce stojącej blisko miejsca, gdzie Andryt uchodził do morza. Dzięki swojemu położeniu mogła jeszcze przez chwilę nacieszyć się ostatnimi promieniami słońca, ale też obserwować (może niezbyt uważnie) pływające łodzie oraz statki. Szybko jednak przypomniała sobie o dzisiejszym zamówieniu, przeniosła więc wzrok na stojący przed nią stolik zastawiony czterema parami butów, westchnęła cicho i zabrała się do pracy.

Czas płynął szybko jak rzeka nieopodal, a gdy Arica wreszcie skończyła podbijać obcas ostatniego kozaka i rozejrzała się dookoła, zobaczyła, że zachodzące słońce zasłoniły burzowe chmury, toteż głównym źródłem światła były wiszące pod daszkami stanowisk lampy. Dziewczyna odłożyła obuwie do dużego drewnianego pudła, schowała je pod swoim stolikiem, po czym przetarła oczy knykciami. Marzyła o ciepłej kąpieli i sycącej kolacji, a do oberży było tak daleko. Przez chwilę rozważała możliwość pozostania na noc u Miry, ale szybko wybiła sobie tę myśl z głowy. Kobieta i tak miała na utrzymaniu troje dzieci i samą siebie, więc nie potrzebowała jeszcze jednej gęby do wykarmienia.

Arica podniosła się powoli ze stołka, zebrała leżące przed nią narzędzia i ruszyła do zakładu Miry. Kobieta czekała na nią w drzwiach, tym razem z łagodnym wyrazem twarzy, lewą ręką przytulając do swojej spódnicy małą, wychudzoną dziewczynkę o przerażonym spojrzeniu. Arica wręczyła Mirze swoje narzędzia pracy, pożegnała się z nią, a na odchodnym uśmiechnęła do małej, mając skrytą nadzieję, że nazajutrz, kiedy tu przyjdzie, ta nie będzie się jej tak bała.

Ostatni raz podeszła do swojego stanowiska, aby upewnić się, że niczego nie zapomniała. Potem, tak z byle powodu, ruszyła ku brzegowi Andrytu, żeby przez moment nacieszyć się widokiem, jakim było odbijające się w tafli wody światło.

Jej nogi wybijały spokojne tempo. Dziewczyna patrzyła na płynącą z północy rzekę, idąc w jej kierunku. Coś w oddali błyszczało i sunęło ku ujściu w słodkim wirze. *Pewnie jakaś ryba, ale za to jaka duża* - pomyślała bez zastanowienia, lecz zmieniła nieco kierunek tak, by stać na brzegu w miejscu, gdzie błyszcząca rzecz będzie przepływać.

Usiadłszy na szorstkim dużym kamieniu, Arica wbiła wzrok w płynący ku morzu przedmiot. Im bliżej był, tym więcej wątpliwości ogarniało dziewczynę. Cokolwiek płynęło, nie było to rybą. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi nogę ubraną w nagolennik. Arica trwała w ciszy na głazie i czekała, aż tajemnicza figura znajdzie się na jej wysokości, a gdy tak się stało, o mało nie spadła na ziemię.

Andryt niósł ku morzu młodego mężczyznę.

Nie myśląc wiele, dziewczyna zeskoczyła na kamienisty brzeg i wbiegła do wody, choć była przenikliwe zimna, a jej obuwie już dawno zniszczone, i pognała w dół rzeki za człowiekiem. Z rozpędu o mały włos nie przewróciła się na śliskich kamieniach leżących na dnie. Niektóre z nich były na tyle ostre, że podeszwy jej butów nie wytrzymały i popękały w kilku miejscach. Kątem oka dostrzegła uciekające przed nią ryby, choć przez brak światła nie mogła być tego pewna. Wiedziona głównie słuchem, goniła za mężczyzną, w głowie prosząc, aby żył.

Niespodziewanie skrawek materiału zakrywającego klatkę piersiową człowieka zahaczył o leżącą na mieliźnie gałąź, płynące ciało zatrzymało się więc raptownie i obróciło nieco, a pędząca za nim Arica musiała skoczyć do góry, aby nie zrobić mu krzywdy. Choć lądowanie na śliskim kamienistym dnie było bolesne, a w szczególności upadek na kolano i dłonie, dziewczyna zaraz podniosła się szybko i na czworakach zbliżyła do mężczyzny. W słabym świetle słońca widziała, jak jego klatka piersiowa unosi się słabo i gwałtownie do góry. Uklękła nad nim i zorientowała się, że patrzy na chłopaka będącego mniej więcej w jej wieku.

Nagle nieznajomy nabrał powietrza do płuc, chwilę później otwierając szeroko oczy ze zdezorientowania i przerażenia. Przez moment jego wzrok był rozbiegany, lecz potem utkwił w twarzy Arici, jakby chciał wejrzeć jej w głąb duszy. Patrzyli tak na siebie może przez wieczność, a może przez zaledwie kilka sekund, po czym chłopak znowu stracił przytomność.

Gdzieś w oddali rozbrzmiał głośny grzmot i Arica wiedziała, że od teraz nic nie będzie już takie samo.

Rozdział trzeci

Jej dotyk był subtelny, ale pewny.

Na początku Dannyl oczekiwał, że poczuje okropny ból, gdy nieznajoma będzie zmieniać opatrunek na jego brzuchu, nic takiego się jednak nie wydarzyło. W każdym razie nie z winy dziewczyny. Bandaże owinięte wokół rany przylepiały się do sączącej zeń krwi i ropy, więc podczas zmieniania okładu cienka tkanina czasami opornie schodziła z jego skóry. To było bolesne, ale ani nieznajoma, ani Dannyl nie mogli nic na to poradzić, a jedynie mieć nadzieję, że wkrótce będzie lepiej.

Ale nic nie mogło się równać z zawrotami i bólami głowy, które dopadały go głównie, kiedy próbował spać. Czyli właściwie przez cały czas. Udawało mu się zdrzemnąć może na godzinę, a potem budził się z ogromną potrzebą zwrócenia wszystkiego, co *jeszcze*miał w żołądku. A nie pozostało tego wiele. Codziennie - jeśli rzeczywiście minęło kilka dni - stracił już rachubę - rano, chwilę po południu i o zachodzie słońca ktoś przynosił mu posiłki: tak podpowiadał mu nos, który wyczuwał zapachy potraw, oraz słuch wychwytujący stukot talerza o nóż lub łyżkę. Nagolennik nic jednak nie jadł, wiedział bowiem, jak to się skończy - zwymiotuje zaraz po przełknięciu pierwszego kęsa. Nie czuł się źle z myślą, że ktoś trudzi się przy robieniu mu jedzenia, nie myślał też o głodzie, a jedynie o wszechogarniającym go bólu.

Jej cierpliwość była niezachwiana.

Aczkolwiek Dannyl nie sprawdzał jej umyślnie. Nie mógł przecież zaradzić, że zmiana bandaży czasami jest bardziej bolesna i musi z tego powodu jęknąć albo że jego brzuch woli pozostać pusty, dopóki w pełni nie będzie zdrowy. Choć chłopak ani razu nie otworzył oczu od ponownego odzyskania przytomności, wiedział, kiedy nieznajoma - a przynajmniej myślał, że za każdym razem to ona - pochylała się nad nim, aby obejrzeć rany na głowie i szyi. Czasami musiał powstrzymać się od chęci spojrzenia na nią, ale bał się tej chwili. Zazwyczaj słyszał wtedy zamyślone lub sfrustrowane westchnięcia, do których szybko się przyzwyczaił. Wówczas zaczął się zastanawiać, kiedy dziewczyna wreszcie da sobie z nim spokój.

Czuł się nic nie wart. Jeszcze mniej niż przed wygnaniem na Bagna Hadwena przez ojca. Zapewne jako jedyny przeżył starcie na wodach dzielących Nymesos od Wilczej Krainy Rhonayi. Zupełnie jak tchórz. Zabił tylko jednego wroga, podczas gdy reszta mężczyzn pewnie z sześć razy więcej. Nie był może najmłodszy z załogi, ale wyglądało na to, że najbardziej strachliwy. Na samo wspomnienie przerażenia, jakie ogarnęło go, gdy zobaczył na horyzoncie trzy drakkary, robiło mu się podwójnieniedobrze.

Jej spojrzenie było wyczuwalne jak dotyk na skórze.

Dzisiaj bowiem było inaczej. Ktoś przyniósł mu rano posiłek, ktoś *inny* niż nieznajoma, a potem nie sprawdził opatrunków, tylko od razu wyszedł, trzaskając drzwiami. Po południu też nie zjawiła się dziewczyna, której westchnięcia pamiętał, a jakaś inna, niewyobrażalnie hałaśliwa, która na dodatek przyprowadziła ze sobą morena albo on sam za nią przylazł. Najwyraźniej nie miała wprawy w noszeniu posiłków, bowiem Dannyl słyszał, jak ta co chwilę klnie pod nosem, a kawałki jedzenia, zapewne jarzyn, spadają na ziemię i zostają pożarte przez małe zwierzę. W końcu dziewczyna poddała się, postawiła talerz z tym, co na nim zostało, na ziemi, wzięła na ręce morena i wyszła, zamykając głośno drzwi, a potem zbiegając po schodach.

Wieczorem Dannyl długo wyczekiwał, aż *ktokolwiek* wejdzie do jego pokoju, głównie dlatego, że chciał po prostu czuć czyjąś obecność. Jednak kiedy minęła godzina posiłku, a potem wymiany bandaży, i nikt się nie zjawił, ogarnął go niepokój, a najróżniejsze myśli zaczęły napływać mu do głowy. Dziewczynę ktoś zabił? Całe miasteczko wyrżnięto albo wszyscy zachorowali na jakąś nieznaną dotychczas chorobę?

*Dorośnij* - skarcił się w myślach. Wtem dobiegły go dźwięki stąpania po schodach, potem podłoga zaskrzypiała i wejście do pokoju otworzyło się powoli ze zgrzytem. Nos wypełnił mu zapach zupy jarzynowej z ostrymi przyprawami, a także jeszcze jeden, taki, który z jakiegoś powodu rozpoznawał. Chwilę później dziewczyna usiadła na swoim dawnym miejscu, a następnie Dannyl usłyszał, jakby coś przełykała, zapewne *jego* posiłek, po czym odstawiła go na podłogę obok. Wstała, przeszła w inną część pokoju, coś zastukało, potem drewno uderzyło o siebie, wpadając do jakiegoś dołu, a po chwili chłopak poczuł ciepło w pobliżu stóp.

Później na dłuższą chwilę zapanowała cisza czasem tylko przerywana przez drewno trzaskające w ogniu. Dannyl czekał cierpliwie na kolejny ruch dziewczyny, ale nic się nie stało. Czuł na sobie natomiast jej świdrujące spojrzenie.

- Wiem, że nie śpisz - odezwała się wreszcie, niespodziewanie, aż Dannyl musiał powstrzymać się od wzdrygnięcia.

- A ja wiem, że ty na mnie patrzysz - odparł cicho, po czym odkaszlnął głośno, czując, że coś przykleiło mu się do gardła. Kiedy skończył, cały przełyk zdawał się płonąć żywym ogniem.

Dziewczyna podniosła z ziemi miskę z zupą, wstała i zbliżyła się do jego łóżka. Dannyla ogarnęły wątpliwości. Co chciała zrobić? Choć wciąż nie otworzył oczu, doskonale zdawał sobie sprawę z bliskości dziewczyny. Usłyszał, jak postawiła naczynie gdzieś obok łóżka, po czym nachyliła się nad nim, jej ciepły oddech uderzył w jego rozgrzane gorączką czoło i...

...dwoma palcami otworzyła mu szeroko lewe oko i przytrzymała tak, gdy chciał je zmrużyć ze względu na oślepiającą jasność, jaka panowała w pokoju. Zdał sobie sprawę, że instynktownie rozchylił drugie oko, teraz biegając zdenerwowanym spojrzeniem dookoła.

- Hej - pstryknęła mu tuż przed nosem palcami, tak że zatrzymał na jej twarzy swoje spojrzenie. Zdążył tylko zarejestrować, że ma szaro-niebieskie oczy i brązowe włosy, zanim nie błysnęła mu zapałką tuż przed okiem. Oślepiony odwrócił głowę, mrugając intensywnie, po czym przetarł powieki dłońmi i znowu zakaszlał głośno. Dziewczyna mruknęła coś pod nosem, a potem dodała: - Wypij to. Pomoże na kaszel.

Podsunęła mu pod nos miskę z zupą, ale nie wlała mu jej do gardła tylko czekała na jego reakcję. Kiedy odzyskał wzrok, patrzył podejrzliwie i na naczynie, i na nieznajomą.

- Jak masz na imię? - rzucił i dłonią nieco odsunął od twarzy miskę. Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, zapytał: - Co to jest? Czy mogę ci ufać?

Zobaczył, jak po jej twarzy przelewa się mnóstwo emocji: dezorientacja, zdenerwowanie, niepewność, aż wreszcie niezadowolenie. Zmarszczyła brwi, po czym wepchnęła mu krawędź miski między wargi i przechyliła naczynie, tym samym zmuszając go do wypicia ostrej zupy czy czegokolwiek, co zostało tam nalane.

- Moje imię podam ci w odpowiednim czasie. Czy mi zaufasz i czy jestem tego godna, zdecydujesz sam - odezwała się pomiędzy jego łykami. - A to, co teraz pijesz, to zupa korzeniowa z syropem z drzewa hibo i ostrymi kwiatami. Złagodzi ból w gardle i zbije gorączkę.

Gdy cała zawartość miski przepłynęła przez przełyk Dannyla, zakręciło mu się w głowie. *Pewnie od syropu.*Opadł znużony na poduszkę, po czym przetarł twarz dłonią. Spocił się, widział małe kropelki na całej powierzchni swojej dłoni.

- Jak twój brzuch? - usłyszał pytanie, więc znowu podniósł oczy na dziewczynę. Wpatrywał się w nią wyczekująco, nie zamierzając dawać jej żadnych odpowiedzi... - Arica. Więc?

- Dannyl. Trochę boli, ale nie tak bardzo jak wcześniej.

Pokiwała głową, odwracając ją i wpatrując się w dal. Pewnie wyglądała przez okno. Chłopak ostrożnie przypatrzył się dziewczynie. Miała wyraźne rysy, kości policzkowe wysoko, drobny podbródek. Skądś kojarzył jej twarz, ale za nic nie mógł przypomnieć sobie skąd. Pewnie pomylił ją z jakąś dziewczyną, która służyła na Bagnach Hadwena albo u jego ojca, stąd ta pomyłka. Zmęczony odetchnął głęboko, po czym ułożył się wygodnie i zamknął oczy.

Kilka dni i kilka zmian opatrunków później Dannyl czuł się znacznie lepiej. Rana na brzuchu zagoiła się na tyle, że mógł siedzieć, a zawroty spowodowane ciosem w głowę dawno go opuściły. Podobnie mdłości i gorączka. Wczoraj zdołał nawet przełknąć ziołowego suchara i łyk ostrej zupy, którą dostawał do każdego posiłku na ból gardła. Z początku chłopak nie był zadowolony, że jego porcje są takie małe, ale kiedy dziewczyna opowiedziała mu, co by się stało, gdyby zjadł "normalny" posiłek, stracił jakoś apetyt. Arica powiedziała też, że gdziekolwiek wpadł do wody, była ona za zimna dla normalnego człowieka i fakt, że on jakimś cudem przeżył, był czymś niesamowitym dla pracowników oberży "Pod Toporem". Dziewczyna, która raz przyniosła mu zupę, ta z morenem, teraz czasami towarzyszyła Arice, gdy ta przychodziła zmienić mu opatrunek, nosząc koszyk z leczniczymi roślinami. Zazwyczaj wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, nie kryjąc zdziwienia, a gdy ktoś coś do niej mówił, nie reagowała od razu.

- Lubi cię - powiedziała Arica jednego dnia, gdy Dannyla znowu dopadła gorączka. Dziewczyna asystowała przy jego łóżku całą noc i część poranka, zbijając temperaturę chłodnymi okładami ze starych koszulek.

- Kto?

- Tenia. Ta z morenem - wytłumaczyła, a po jej twarzy przebiegło coś jakby niesmak, po czym skrzywiła się. - Jest zbyt nieśmiała, żeby się do ciebie odezwać, ale podczas obiadu nie da się jej uciszyć.

Chłopak wpatrywał się w sufit zdezorientowany. Nigdy nie przypatrywał się Tenii uważniej, ale to pewnie dlatego, że w ogóle nie przykuła jego uwagi.

- Głupio mi będzie mówić jej, że nawet mnie nie interesuje - mruknął z ironią, a następnie spojrzał w stronę siedzącej obok dziewczyny. W świetle dwóch woskowych świec nie dostrzegł zbyt wiele, ale wiedział, że w oczach Arici błysnęło coś zagadkowego.

- Nie będzie takiej potrzeby - uśmiechnęła się pod nosem - jeden z podróżnych, który przyjechał tu wczoraj, wykazywał wielkie zainteresowanie jej osobą podczas dzisiejszej kolacji. Ona zresztą nie narzekała - zerknęła pobieżnie na leżącego. - Zawsze tak robi. Potem o nim zapomni, a następnego dnia znajdzie innego.

Zaśmiał się cicho i słabo, wiedząc, iż głośny śmiech mógłby sprawić mu ból. Już chciał sięgnąć po świeży okład z wiadra stojącego przy posłaniu, gdy Arica pochyliła się nad nim i sama zdjęła z jego czoła ciepły mokry materiał, po czym zamieniła go na nowy. Przez cały czas unikała jego spojrzenia, a kiedy na powrót usiadła na stołku, na jej twarzy malowało się zamyślenie, o czym świadczyły głębokie zmarszczki na czole. Zagryzła mocno wargę zębami i milczała przez dłuższą chwilę.

- Dannyl...

- Co?

Patrzył na nią uważnie, ale łagodnie, lecz ona znowu musiała spojrzeć na okno po jej prawej i milczeć. Chłopak powoli usiadł na łóżku, które zaskrzypiało cicho, sprawdził pobieżnie, czy opatrunek na brzuchu pozostał nienaruszony, i znowu wbił w nią swój wzrok.

- Co? - powtórzył pytanie, tym razem starając się brzmieć tak, aby dziewczyna sama zaczęła mówić.

- Bo... rozmawiałam wczoraj z radą miasteczka... Dość szybko się o tobie dowiedzieli... i... jutro mają podjąć decyzję czy... - westchnęła głęboko, a następnie przetarła twarz dłońmi. - Co z tobą zrobią. Jest pogłoska, że wysłany z Bagien Hadwena list gończy mówi o tobie - odwróciła głowę i spojrzała na niego przepraszająco. - Musisz mi powiedzieć. Jak się znalazłeś w odmętach Andrytu?

Chłopak z trudem przełknął gulę, która uformowała się w jego gardle ze stresu. To nie tak, że nie chciał mówić Arice o tym, co się tam wydarzyło, ba - bardzo chciałby zrzucić ze swoich ramion ciężar, jaki nosiły ze sobą powiązane z tą bitwą wspomnienia, ale... zawsze, kiedy przywoływał w myślach widziane wówczas obrazy, czuł się głupio. Jak mógł sobie pozwolić na tyle stresu, tyle lekkomyślności w tak trudnych chwilach? Zero rozważności, trzeźwości umysłu, tylko działanie pod wpływem impulsu. Już wyobrażał sobie, jak dziewczyna powstrzymuje się od uśmiechania co minutę jego opowieści. Nie chciał, żeby potem inaczej go traktowała.

- Dannyl?

Spostrzegł, że od dłuższego czasu siedział zgarbiony ze skrzyżowanymi nogami, tępo wpatrzony w kołdrę przed sobą, milczący, podniósł więc wzrok i zerknął na siedzącą obok dziewczynę. Znowu uderzyły w niego myśli, że skądś zna te rysy twarzy, prawie jak każdy człowiek w tej krainie... Otrząsnąwszy się szybko, spojrzał jej w oczy i ujrzał zrozumienie. To tylko jeszcze mocniej zabolało.

- Nie musisz mówić teraz - odezwała się po chwili zamyślenia, po czym złapała go pewnie za lewą dłoń i uścisnęła. Stwierdził ze zdziwieniem, że jej dłonie często są chodne, a skóra sucha. - Ale... - zagryzła wargę - tak czy siak kiedyś się dowiem. Musisz podjąć decyzję.

Spojrzał na swoją rękę, teraz zamkniętą w jej delikatnym uścisku, na Aricę i znowu na ich dłonie. Przez chwilę poczuł się zmęczony i śpiący, potem jednak okiennice otworzyły się pod wpływem silnego podmuchu wiatru i huknęły w ściany, dziewczyna wstała więc, aby je zamknąć, i tym samym puściła jego rękę, która nagle stała się strasznie zimna i to go właśnie otrzeźwiło. Westchnął głęboko, skupiając na sobie uwagę Arici.

- Ja... Ja... opowiem ci wszystko.

Nigdy wcześniej nie czuł się tak głupio z powodu tego, że głos mu zadrżał.

Ale dotrzymał obietnicy - opowiedział Arice o wszystkim. Począwszy od powodu, dla którego statki wypłynęły z Bagien Hadwena, do momentu, w którym zdołał wypłynąć na powierzchnię po uwolnieniu się od dzikiego Rhonayczyka. Pomijał momenty takie jak ogarniające go wówczas emocje. Uznał, że Arica albo sama to wywnioskuje, albo nawet o tym nie pomyśli.

Kiedy skończył, świece już dogasały, w pokoju panował chłód, a Dannyl czuł się naprawdę śpiący. Z trudem powstrzymywał ziewanie i, choć obecność dziewczyny zupełnie mu nie przeszkadzała, nie miałby nic przeciwko, gdyby już sobie poszła. W końcu on był ranny i potrzebował wypoczynku, a ona - zajmowała się nim przez prawie cały czas, jeśli nie znikała na kilka godzin w miasteczku tylko po to, żeby robić inne męczące rzeczy. Mimowolnie popatrzył w kierunku dziewczyny, która nieprzerwanie siedziała na stołku przy łóżku i cicho słuchała jego opowieści. Dostrzegł rysujące się pod jej oczami cienie oraz ogólne zmęczenie na całej twarzy.

Już otwierała usta, aby coś powiedzieć, kiedy on postanowił odezwać się pierwszy.

- Pytania będą jutro. No, może dzisiaj, ale później - wysilił się na słaby uśmiech. - Idź się wyspać, bo wyglądasz gorzej ode mnie - jej na powrót zamknięte usta znowu miały się otworzyć - i tak, wypiję do końca tę porcję naparu, którą mi dzisiaj przyniosłaś. Nawet, jeśli jest już zimna - jakby chciał utwierdzić ją w przekonaniu, sięgnął po stojącą obok nogi łóżka miskę i jednym, dużym łykiem wypił całą jej zawartość. Zdążył na tyle przyzwyczaić się do smaku napoju, że prawie nic nie poczuł, gdy wszystko spływało mu do żołądka.

Zapanowała krótka chwila ciszy, podczas której oboje mogli pójść spać, żadne z nich nie zrobiło jednak jakiegokolwiek ruchu. W końcu Arica wstała powoli z krzesełka, przeciągnęła się, zakrywając jedną dłonią usta podczas ziewania, po czym pochyliła się i rozluźniła kręgosłup. Gdy znowu stała prosto, jej twarz miała znacznie bardziej zrelaksowany wyraz.

- Tak... Masz rację, pójdę się przespać - powiedziała lekko zachrypniętym głosem, a następnie spojrzała w stronę okna po prawej. - Wrócę do ciebie za... kilka godzin z posiłkiem, a po południu powinnam już wiedzieć, co zdecyduje rada miasteczka. Dam ci znać - uśmiechnęła się do niego lekko, sięgnęła po pustą miskę i skierowała w kierunku drzwi wyjściowych. Dannyl odprowadzał ją wzrokiem i kiedy dziewczyna zdała sobie z tego sprawę, rzuciła mu karcące spojrzenie, zaraz jednak roześmiała się cicho. - Dobranoc, Dannylu.

I wyszła.

Dannyl siedział chwilę osłupiały z mętlikiem w głowie, po czym opadł na poduszkę z głupim uśmieszkiem pod nosem.

- Dobranoc, Arico.

Rozdział czwarty

Z każdym dniem Arica dostrzegała coraz to większe zmiany w Dannylu. Rana na brzuchu już prawie się zrosła i rzadko dawała o sobie znać, a guz był teraz zaledwie widoczny na jego głowie. Dzięki temu fale mdłości lub inne dolegliwości, które wcześniej nawiedzały chłopaka, właściwie przestały go nachodzić. Zaczął też jeść "zdrowsze porcje", na co Rossac lubił się skarżyć, szykując mu posiłek, choć zawsze jego słowa były obracane w żart, bowiem o niedobór jedzenia właściciel oberży nie musiał się jak na razie martwić.

- Dopóki nie będzie zjadał całego kapłona na każdy posiłek, może zostać pod moim dachem na tak długo, jak zechce - żartował.

Jak na razie ograniczał się do miski gotowanych jarzyn, kawałka mięsa i może czasem chleba na obiad.

Dwa dni temu Dannyl namówił Aricę, aby wreszcie zabrała go na dwór, bo, jak sam to określił: "dostawał powoli szału, codziennie wpatrując się w drewniany sufit". Zaklinał się też, że czuje się jak nowo narodzony, zdrowy jak ryba czy "jakkolwiek można było to nazwać". Po dokładnym obejrzeniu obu zrastających się ran dziewczyna i tak potrzebowała dłuższej chwili, aby podjąć decyzję.

W końcu pozwoliła mu poruszać się, na razie, tylko po terenie gospody. Pomogła mu ubrać się nieco bardziej stosownie niż w wielką starą koszulę nocną, po czym wspólnymi siłami postawili Dannyla na prostych nogach. Zaraz gdy Arica spróbowała go puścić, chłopak zachwiał się i poleciał do tyłu, więc przez pierwszy dzień dziewczyna musiała oprowadzać go po całym zajeździe, a tym samym nie wypełnić wszystkich zapisanych na ten dzień obowiązków.

Jakoś jej to nie przeszkadzało.

Rossac szybko polubił Dannyla, a dokładnie zaraz po wymienieniu z nim kilku zdań. Umiał szybko zawierać nowe znajomości, i tyle. Wciąż śmiejąc się cicho, bo widok pomagającej Dannylowi dziewczyny niezmiernie go bawił, pozwalał im wejść do dosłownie każdego pomieszczenia, aby następnym razem chłopak się tutaj nie zgubił. Zajrzeli do pokoju dla pracowników gospody, spiżarni, niespodziewanie wielkiej kuchni (Dannyl wyśmiał swoją nową znajomą, kiedy opowiadała mu o rozmiarach tego miejsca), składziku na czyste pościele i ubrania oraz ich brudne klony, piwnicy, gdzie trzymano beczki z trunkami, a na koniec, choć na dworze panował ziąb, wyszli na mały wewnętrzny dziedziniec i skierowali się do przyklejonej do oberży stajni. Jedynymi pomieszczeniami, których nie odwiedzili, był zamknięty na klucz pokój pod piwnicą (Rossac nikomu nie pozwalał tam wchodzić) oraz składziku na miotły i wiadra.

Dzisiaj mieli po raz pierwszy wyjść na miasto, jako że Arica i tak musiała iść do Miry na poranną zmianę, a Dannyl uparł się, że będzie jej towarzyszyć. Tak jak chłopak czuł ekscytację z faktu, iż wreszcie pooddycha świeżym powietrzem (nawet jeśli to w Miasteczku Jeży nie było najczystsze), tak Aricę co chwilę ogarniał kolejne obawy co do tego wyjścia. I nie chodziło o rany czy opatrunki - one miały się świetnie.

Chodziło o radę miasta.

Arica poszła do niej po tym, jak Dannyl opowiedział jej, jak znalazł się nieprzytomny i ranny w odmętach Andrytu. W jej skład wchodził burmistrz miasta, poseł królewski, który wszystko, co słyszał, przekazywał władcy, urzędnicy, kapłan oraz - w przypadku tego miasteczka - czterech przedstawicieli każdej z dzielnic (ich ilość zależała od wielkości wioski). Kiedy Arica opowiedziała im *część* tego, co usłyszała od chłopaka, rada dyskutowała tak długo, że dziewczynę rozbolały nogi od ciągłego stania na środku sali w domu burmistrza. A gdy wreszcie zapadła decyzja, poczuła się jak oblana lodowatą wodą.

- Z twojej opowieści wynika, że to za twoim znajomym wysłano list gończy. To od razu stawia go w niewygodnej sytuacji - powiedział kapłan, spoglądając na resztę radnych ze swojego miejsca na podwyższeniu. Jako "przedstawiciel bogów" zazwyczaj przemawiał w imieniu całej rady. - Nie możemy pozwolić mu zostać w naszym miasteczku na zawsze, a przynajmniej nie w taki sposób, że każdy go rozpozna - rzucił Arice przeciągłe, zamyślone spojrzenie, po czym zmarszczył krzaczaste, siwe brwi.

- Moglibyśmy pozwolić mu zostać, jeżeli zacząłby pracować na korzyść miasta. Zawsze można powiedzieć, że to syn jakiejś kurtyzany - odezwała się przedstawicielka Zachodniej Dzielnicy. Była niezbyt wysoką, okrągłą, ale nad wyraz bystrą kobietą o bujnych, rudych włosach i często miała decydujące zdanie podczas sporów.

- Jednak ludzie, którzy go rozpoznają, mogą się przestraszyć i zawiadomić władze, a tego chyba nie chcemy - wtrącił zarządca Północnej Dzielnicy, wysoki chudy mężczyzna o długich białych włosach związanych na karku w supeł. - Należałoby zmienić jego wygląd w jakiś przystępny sposób... Obciąć włosy... Tak, to będzie najlepsze.

- A jeśli się nie zgodzi? - zapytał przedstawiciel króla.

- Nie będzie wówczas innego wyjścia, jak wygnać go z miasta jak najprędzej - odparł kapłan i znowu wpatrzył się w Aricę uważnym, twardym spojrzeniem.

Dziewczyna chciała odpowiedzieć mu tym samym hardym wzrokiem, ale nagle myśl o wygnaniu Dannyla z miasta, tym bardziej, że jeszcze w pełni nie doszedł do siebie, zamieniała jej nogi w watę. Zamiast tego spuściła tylko głowę, skinąwszy nią wcześniej na znak zgody. Wolała nie zastanawiać się na razie, jak chłopak zareaguje na te wiadomości.

Radni podyskutowali jeszcze przez moment, jednak o mniej ważnych częściach sprawy Dannyla, które nie dotyczyły dziewczyny, dlatego ta dalej ich nie słuchała. Nagle ktoś położył jej rękę na ramieniu, zimną i szorstką, więc obróciła się szybko i stanęła twarzą w twarz z gwardzistą pilnującym drzwi. Przez ogromny, ozdobiony misternymi listkami hełm patrzyły na nią obojętne oczy, a ubrana w stalową rękawicę ręka wręczała jej małą kopertę zapieczętowaną granatowym woskiem. Arica od razu rozpoznała, że to list od przedstawiciela króla. Poczuła dreszcz. *Przecież on nic nie wie... Prawda?*Kiwnięciem głową podziękowała młodemu gwardziście, po czym ostrożnie spojrzała w kierunku mężczyzny siedzącego na ozdobnym krześle obok burmistrza. Poseł wpatrywał się w nią w skupieniu, trochę jakby chciał rozebrać ją wzrokiem, gładząc się po krótkiej, czarnej bródce z pasmami siwizny. Zdawał się w ogóle nie słuchać dyskutujących tuż obok niego ludzi.

Dziewczyna powoli odwróciła się, a następnie ruszyła w kierunku drzwi i wyszła na szeroki, zastawiony rzeźbami korytarz. Pomiędzy stojącymi pod ścianami kolumnami byli gwardziści, ubrani tak samo jak ten, który dał jej list, tyle tylko, że oni nosili jeszcze bordowe peleryny podszyte błyszczącym materiałem od dołu. Trwając w bezruchu, wyglądali jak statuy znajdujące się obok nich. Arica wzdrygnęła się, kiedy to sobie uświadomiła, po czym wznowiła marsz i zeszła schodami na dół do przedpokoju, a stamtąd prosto do drzwi wyjściowych.

Na zewnątrz od razu poczuła, jak ciepło było w domu burmistrza, a jak zimno poza nim. Żałowała też, że nie kupiła sobie ciepłej czapki, kiedy widziała jedną na targu po przystępnej cenie, jeśli nie bardzo niskiej. Postawiła kaptur, ciasno związała latający płaszcz w pasie i pomaszerowała do oberży "Pod Toporem".

Teraz starała się skupić na rozkoszowaniu się chwilami w ciepłym pokoju, zanim będzie musiała z niego wyjść i *powoli*maszerować przez port do zakładu Miry, a to tylko ze względu na stan Dannyla. Mimowolnie spojrzała, jak ubierał na siebie ciepłe ubrania, które dostał od Rossaca. Oberżysta mówił, że nosił je, kiedy był w wieku chłopaka, ale Arica widziała doskonale, że każda część garderoby była przynajmniej o cztery rozmiary za duża. Może to dlatego, że Dannyl był chudy jak patyk, głównie przez odniesione rany oraz chorobę, a może to z powodu rozmiarów Rossaca. Od zawsze był potężnym człowiekiem.

- Gotowa? - usłyszała nagle nad sobą. Podskoczyła na stołku, wyrwana z zamyślenia, i jej spojrzenie skrzyżowało się z promiennie uśmiechniętym Dannylem. Patrzył na nią żywo i cierpliwie, i dziewczynę strasznie to zabolało, bo wiedziała, że miałby inny humor, gdyby wiedział, dokąd wejdą po drodze.

- Jasne, chodźmy - odparła szybko, wstając i ruszając do drzwi szybkim krokiem .

- Arica.

Westchnęła zdenerwowana, siłując się z otworzeniem drzwi, szarpiąc za starą gałkę. Zawiasy, zamiast ustąpić, piszczały tylko, tym samym doprowadzając ją do szewskiej pasji. Czy Dannyl nie mógł zapytać jej kiedy indziej?

- Arica - powtórzył trochę bardziej stanowczo.

- Co? - warknęła zirytowana. Jeszcze mocniej ciągnęła za gałkę, ale zamiast otworzyć drzwi, wyrwała ją z zamka. Rzuciła przedmiotem o ziemię, po czym oparła głowę o drewno i spróbowała powstrzymać się od rozpłakania.

Wtem poczuła na swoim ramieniu dłoń, a wspomnienie spotkania z radą miasta prawie do niej powróciło. Tyle tylko, że ta była ciepła i nie ściskała jej barku mocno, a kiedy obróciła się, by spojrzeć na jej właściciela, nie napotkała srebrnego hełmu, a łagodną twarz Dannyla. Patrzył na nią ze spokojem, choć czoło miał zmarszczone.

- Nie jesteś dzisiaj sobą - mruknął cicho, unosząc jedną brew. Uklęknął, aby sięgnąć po gałkę, po czym pochylił się przy otworze w drzwiach i zaczął montować rączkę z powrotem na swoje miejsce. Po krótkiej chwili mocowania się wszystko wyglądało tak, jak poprzednio. - Chodź. Może potem opowiesz mi, co ciebie dręczy.

Złapał ją za rękę i, choć krok jego był chwiejny, ze zdecydowaniem zaczął schodzić na dół. Arica poczuła falę przyjacielskiej miłości i współczucia dla tego chłopaka. Pomimo wszystkiego, co przeszedł, zachował pogodę ducha. A może to były tylko pozory, a on po prostu nie chciał jej dalej zamartwiać?

*Czy to ma znaczenie? Dopóki nie trzeba wyganiać go z miasta, będzie dobrze.*

Na dole zatrzymali się, aby Dannyl mógł dokładnie obejrzeć zapełnioną jadalnię oberży (chociaż robił to za każdym razem, kiedy tu był), a następnie pożegnali się z Rossaciem i ustalili godzinę powrotu. Oberżysta odprowadzał ich nieskrywanym śmiechem, bo, jak od razu zauważył, jego ciuchy były zdecydowanie za duże dla wychudzonego chłopaka. Pomiędzy salwami jego głośnego rechotu oznajmił im, że Dannyl lepiej wyglądałby w worku na zboże, jednak chłopak zamiast obrazić się, dołączył do Rossaca swój chichot. Po ty, jak sam dodał jakąś uwagę na temat wyglądu właściciela zajazdu, obaj zaczęli śmiać się jeszcze głośniej, aż zwrócili na siebie uwagę kilku podróżnych. Arica nie mogła się powstrzymać i musiała się z tego powodu zaśmiać.

Po chwili byli już na zewnątrz. Znowu stali - Dannyl był oszołomiony widokiem. Co prawda dziewczyna nie rozumiała specjalnie, co wspaniałego jest w krótkim fragmencie ulicy prowadzącej do portu, ale postanowiła dać chłopakowi moment na nacieszenie się obrazem. W końcu siedział w zamknięciu przez dwa tygodnie.

- Jak tu pięknie - powiedział cicho, rozmarzonym wzrokiem chłonąc każdy element drogi.

- Naprawdę? - zaśmiała się z przekąsem, po czym delikatnie pociągnęła go w stronę portu. Kiedy się tam znaleźli, musiała powstrzymać Dannyla od ponownego zatrzymania się, ale tym razem w pełni rozumiała jego zachwyt. Wybrzeże było piękne, choć część kręcących się tu ludzi - nieciekawa. Teraz, parę godzin po południu, nie było tu zbyt tłoczno, toteż Arica mogła spokojnie oprowadzić znajomego po promenadzie, pokazać mu, kogo musi unikać, jeśli nie chce wpaść w kłopoty, a także do których sklepów warto czasem zajrzeć. Przy okazji sama witała się ze swoimi znajomymi znającymi ją głównie z regularnego spotykania w porcie lub naprawiania ich butów. Dziewczynie takie stosunki nie przeszkadzały - nie zobowiązywały jej do niczego więcej: tylko przyjemna rozmowa, czasem udzielona przysługa.

- Co to za miasteczko? - zapytał Dannyl po tym, jak oboje wyszli z nadmorskiej piekarni słynącej z bułek nadziewanych rybą i wodną roślinnością i ponownie ruszyli w kierunku zakładu Miry. Po tym, jak dziewczyna wspomniała, że to miejsce robi najlepsze kanapki, jakie mogły istnieć, chłopak zmusił ją, aby mu to udowodniła. Teraz, kiedy na niego patrzyła, zdawał się być pod wrażeniem.

 - Czemu pytasz? - zerknęła w jego stronę.

- A nie mogę? - zaśmiał się, połknąwszy kęs . - Chyba mam prawo wiedzieć, gdzie jestem, co?

Zaśmiała się lekko na jego uwagę, ale i tak milczała przez chwilę. Spróbowała sobie wyobrazić jego reakcję, kiedy się dowie, ale nic nie pojawiało się w jej głowie.

- W Miasteczku Jeży.

Uważnie obserwowała jego twarz i ze zdziwieniem zauważyła, jakby odpłynęła z niej krew. Dłonie Dannyla zadrżały, jakby ciężar trzymanej bułki był dlań za wielki. Postawił kilka chwiejnych kroków do tyłu, aż oparł się o ścianę, a następnie odetchnął głęboko.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - odezwała się cicho chwilę później. Jej samej troszkę ciężko było się otrząsnąć z oszołomienia.

- Co? Nie, nie, to nie tak... - zaczął nerwowo tłumaczyć, a gdy zdał sobie sprawę, że się jąka, zamilkł, po czym wziął kilka głębokich wdechów. - Mój ojciec mieszka niedaleko stąd. Jest wpływowym człowiekiem. Wysłał mnie na Bagna Hadwena, gdy osiągnąłem pełnoletność. - Znowu otworzył usta, ale nic z nich nie uciekło. Wtem zaśmiał się, jakby ironicznie. - Czy to nie zabawne? Wyrzuca mnie z domu, ale ja wracam, jak jakaś choroba. Na pewno wie, że tu jestem. Musi wiedzieć! Jestem skończony.

Po czym osunął się po ścianie i usiadł na ziemi, spuszczając głowę. Jego ramiona uniosły się, kiedy westchnął ciężko. Arica stała nad nim przez chwilę, niezbyt pewna, co powinna powiedzieć. Nieco rozumiała, jak musiał się czuć - sama została wygnana z domu, ale wyglądało to w trochę inny sposób. Zamiast się odzywać, podciągnęła płaszcz, czubkiem buta odgarnęła leżący na kamieniach obok chłopaka śmieć i usiadła obok niego. Trwali tak w szumie morza oraz rozmowach innych ludzi, powoli jedząc swoje kanapki, dopóki nie zrobiło się nieco chłodniej. Wówczas Arica obróciła głowę, aby dokładnie widzieć twarz Dannyla, po czym odchrząknęła. Chłopak spojrzał na nią zrezygnowany.

- Być może twój ojciec już wie o tym, że tu jesteś. Nasze miasteczko nie jest siecią sekretów, kłamstw i intryg jak stolica czy Castamere, ale potrafimy dotrzymać tajemnicy, jeśli trzeba. Bo widzisz... - zagryzła wargę, a kiedy znalazła odpowiednie słowa, wstała i mówiła dalej: - byłam na spotkaniu z radą miasta dwa dni temu. Musiałam opowiedzieć im część tego, co od ciebie usłyszałam - chłopak już otwierał usta, aby coś powiedzieć, lecz przerwała mu. - Streściłam im ją tak bardzo, że nie dowiedzieli się z niej niczego ważnego - na ułamek sekundy na jej ustach pojawił się uśmiech. - Ale postanowili dwie rzeczy... Ponieważ z Bagien Hadwena wysłano za tobą list gończy, wiele osób uzna, że wydanie ciebie przyniesie im zysk. Aby uchronić ciebie przed powrotem postanowiliśmy zmienić twój wygląd - podniosła nogę, żeby czubkiem buta wskazać na jego długie, rozczochrane włosy, które zawsze były przeczesywane tylko palcami. - Pozbędziemy się ich. No i będziesz musiał zacząć pracować na korzyść miasta. U płatnerza, kowala czy jako służący w barakach straży miejskiej. Coś się wymyśli... - zakończyła, wpatrując się w chłopaka z wyczekiwaniem i dając mu chwilę na zastanowienie się.

Dannyl podniósł się powoli z kamiennej drogi, otrzepał spodnie, po czym rozejrzał po promenadzie. Arica nie potrafiła wyczytać z jego twarzy żadnych emocji. Jakby nagle wyparł je wszystkie z siebie. Chłopak patrzył w zamyśleniu na widok za jej plecami - błyszczące w popołudniowym słońcu nabrzeże pełne wszelkiego rodzaju łodzi czy okrętów. Potem rozejrzał się na obie strony, może szukając powodu, dla którego powinien wrócić na Bagna Hadwena albo zostać tu. Kiedy znowu ich spojrzenia się skrzyżowały, dziewczyna dostrzegła jakiś błysk w jego oczach, a na usta wpełzł zadowolony uśmiech.

- Wiesz co... - mruknął po chwili, na moment spoglądając na dół i figlarnie przygryzając dolną wargę. - Podoba mi się to. Ten plan. Praca mi nie zaszkodzi, no i odwdzięczę się jakoś Rossacowi za to, że pozwala mi mieszkać w swojej oberży. A poza tym...

Urwał na tak długą chwilę, że Arica zaczęła się martwić, czy nie zmienił zdania. Już chciała go zapytać...

- Przydałaby mi się zmiana fryzury, nie uważasz?

Rozdział piąty

Obcinanie włosów łaskotało, jednak niosło ze sobą swego rodzaju ulgę. Trochę, jakby jakiś ciężar został zabrany z duszy Dannyla. Może to odpowiedzialność za rozczesywanie tak długiej czupryny mu przeszkadzała. Teraz patrzył w swoje odbicie w lustrze i uważnie obserwował każdy obcięty włos aż do momentu, kiedy nie był w stanie go dostrzec, jakby chciał bezpiecznie sprowadzić go na ziemię, trzymając za rękę. Z każdym cięciem w myślach mówił "do zobaczenia", choć jakoś nie brakowało mu poprzedniej fryzury, gdy Arica skończyła otrzepywać go z resztek włosów i znowu mógł spojrzeć w lustro.

Na początku nieco się przeraził. W świetle kilku świec odbijającym się w zwierciadle dokładnie widział, jak bardzo zmieniła się jego twarz. Prawie siedem dni głodówki zostawiło na nim swoje piętno. Policzki miał zapadnięte, zwisała z nich wciąż nieco blada, sucha skóra. Dostrzegł także zarysy cieni pod oczami, a teraz znacznie bardziej widoczny strup po uderzeniu w głowę nie poprawiał sprawy. Ucieszył się jednak z tego, że brodę zaczął mu porastać zarost. *Wyglądam jak zupełnie inna osoba* - pomyślał, ku swojemu zaskoczeniu, całkiem zadowolony.

Przez pierwsze kilka dni posiadanie krótkich włosów stanowiło dla niego problem, choć nie narzekał za bardzo - było mu strasznie zimno. Kiedy wyznał to Arice, ta następnego dnia miała już przygotowane cztery czapki, które mógł nosić. "Do wyboru, do koloru" - powiedziała speszona, widząc, że chłopak był co najmniej zaskoczony jej skrupulatnością. Zimno było jednak jedyną wadą, z jaką wiązało się obcięcie włosów. Poza tym Dannyl zdawał się być cały w skowronkach. Kiedy budził się rano, nie musiał przeczesywać niesfornej czupryny palcami, żeby wyglądała chociażby znośnie, bo pozostało po niej niewiele.

Na dodatek krótkie włosy nie przeszkadzały mu w pracy. Niedawno został zatrudniony u kowala, który okazał się być młodszym bratem Rossaca, pochmurnym i małomównym ze względu na życie w cieniu rodzeństwa w dzieciństwie. Barog pokazał mu tylko podstawowe zasady pracowni oraz jak wykonywać każde z poleceń i Dannyl więcej go nie widywał, tylko przy wejściu lub opuszczaniu zakładu. Nie przeszkadzało mu jednak zachowanie właściciela. Szybko zdążył polubić zmęczenie, jakie ogarniało go po kilku godzinach poruszania miechami i hartowania stali. Zaprzyjaźnił się z nim i za każdym razem witał z otwartymi ramionami jak znajomego na mecie wyścigu.

Arica - jakimś cudem - znajdowała czas, aby odwiedzać go w pracy. Codziennie. Zazwyczaj zjawiała się gdzieś po południu, gdy Dannyl miał przerwę i przesiadywał na pieńku stojącym przed zakładem, obserwując żyjący własnym życiem port. Często rzucała komentarze, że mógłby się kiedyś umyć podczas przerwy, ale chłopak za każdym razem zbywał ją machnięciem ręki i przecierał spocone ciało szmatką, którą przydzielono mu na początku pracy. Wówczas dziewczyna śmiała się cicho, wyjmowała z torby coś do jedzenia, dzieliła się z nim i zaczynała opowiadać, co działo się dzisiaj w miasteczku. Dannyl zawsze pytał ją, jakie było niebo o wschodzie słońca, ponieważ zaczynając pracę chwilę przed brzaskiem, nigdy nie miał okazji go zobaczyć. A brakowało mu tego.

Lecz dzisiaj było inaczej. Arica nie zdołała go odwiedzić po południu, ponieważ - jak dowiedział się w otrzymanej nieco wcześniej wiadomości od Tenii - rada miasta znowu chciała się z nią spotkać, a potem musiała skończyć pilne zamówienie na cztery pary butów do dzisiejszego wieczoru. Dannyl swoją popołudniową przerwę spędził więc sam. Usiadł na swoim pieńku, westchnął zmęczony, przetarł twarz szmatką i patrzył. Przed nim przepływała rzeka ludzi kręcących się po porcie ze swoimi problemami, tak wielka i gęsta, że aż bał się do niej wchodzić. Na szczęście nie musiał i poczuł się z tego powodu nadzwyczaj lekko. Uczucie to było podobne do tego, które ogarniało go, kiedy zamęczał się prawie na śmierć w kuźni.

*Wyzwolony.*

Uśmiechnął się pod nosem, słysząc w myślach to słowo. Dawno się tak nie czuł.

Wtem zaburczało mu w brzuchu, tak głośno, że chłopak bał się, iż ktoś go usłyszał. Rozejrzał się na boki, lecz nikt nie zdawał się zwracać na niego uwagi. Westchnął znowu, zamknąwszy oczy na dłuższą chwilę. Raptem z wypoczynku wyrwała go szorstka dłoń lądująca na jego ramieniu jak niewytresowany ptak, raniący skórę. Oderwał się od ściany i obejrzał, aż jego spojrzenie skrzyżowało się z metalicznymi oczami Baroga. Mężczyzna, wykrzywiając usta w czymś, co chyba miało być uśmiechem, miał wyciągniętą w kierunku Dannyla dłoń - może raczej łapsko - a w niej kawałek nadpalonej bułki oraz niewielkie, ze śladem po robakach w jednym miejscu jabłko. Chłopak zdziwiony odebrał poczęstunek, a gdy mężczyzna usiadł obok niego, przyjrzał mu się uważnie.

- Jedz. Zasłużyłeś - mruknął Barog, kiedy zauważył, że Dannyl siedzi i tylko wpatruje się w niego. Po chwili dodał: - Zmordujesz się w mojej kuźni, chłopcze.

Znowu usta wygięły mu się w tym uśmiechu. Z początku chłopak myślał, że będzie przerażający, ale w rzeczywistości zdawał się być ciepły i szczery. Przełknąwszy kęs miękkiego, kruchego jabłka - które swoją drogą było niesamowicie cierpkie - uśmiechnął się niewinnie.

- Jeśli coś mi się stanie, dam ci znać - zapewnił właściciela kuźni ostrożnym głosem.

- Wyglądasz, jakbyś się czegoś bał - stwierdził po momencie zamyślenia. Dannyl kątem oka dostrzegł, jak jego krzaczaste brwi zbiegły się w jedną linię. Barog uważniej przyjrzał się swojemu pracownikowi. Dannyl aż poczuł dreszcze na plecach. - Chyba już gdzieś cię widziałem...

Momentalnie poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Nagle kolejny kawałek jabłka, niby malutki, zdawał się być za wielkim dla jego gardła. Chyba utknął gdzieś wewnątrz niego. W końcu Dannylowi udało się przełknąć owoc, ale to wcale nie poprawiło sprawy. W klatce piersiowej wciąż czuł coś jakby uścisk i musiał użyć całej siły woli, żeby powstrzymać ręce od drżenia.

- Tak... Już wiem skąd - mruknął Barog w końcu, zwracając na siebie uwagę chłopaka. Ten omal nie zwymiotował ze strachu.

Znowu przełknął ślinę.

Ostrożnie.

- S-skąd? - zdołał wykrztusić z siebie, po czym od razu tego pożałował. Głos drżał mu bardziej niż szarpnięta struna i teraz Barog na pewno wiedział, kim jest.

- Ciebie tutaj zniósł ten śmierdziel, Andryt, prawda? - spytał mężczyzna, podnosząc się nieco i przysuwając skrzynkę, na której siedział, trochę bliżej chłopaka. - I o tobie jest ten list gończy od starego Hadwena?

Dannyl szybko obrócił głowę i posłał ogromnemu, włochatemu kowalowi błagalne spojrzenie, w duszy modląc się, że w tym człowieku jest chociaż cień litości i nie wyda go reszcie miasta. Wiedział bowiem, iż w większości ludzi wywołałoby to ogromną falę strachu, a przestraszony lud robi wiele nierozsądnych rzeczy. W myślach już układał sobie pożegnanie, jakim obdaruje Aricę.

- Na moje kości, chłopcze, jesteś biały jak rozgrzana stal! - Barog żachnął się rozbawiony, kiedy tylko ujrzał wyraz twarzy Dannyla. Ten w odpowiedzi skulił się zdezorientowany. - Nie martw się, to nie twoja wina. Mam oko do ludzkich twarzy - nachylił się w kierunku Dannyla, rozszerzając jedno oko, jakby pokazując je chłopakowi miał mu to udowodnić - a poza tym Rossac nie potrafi stulić pyska przez cały dzień. Czasem nawet mówi przez sen byle bzdety.

Ta wiadomość uspokoiła chłopaka tak, jakby nasikał na wielkie ognisko i spróbował je ugasić. Zignorował siłę ściskającą jego przełyk ze strachu, wyprostował się i posłał kowalowi badawcze spojrzenie.

- Co Rossac ci powiedział?

Barog odpowiedział Dannylowi szerokim, jak się okazało - częściowo bezzębnym - uśmiechem.

- Że jakiegoś nieźle pociętego dzieciaka rzeka przyniosła na mielizny. - Mówił ściszonym głosem, co tylko zmieniało całą sytuację w gorszą. - Że nie dało się go obudzić przez sześć dni. Że nic nie jadł, nie pił, a kiedy wreszcie się ocknął, wyżłopał całą miskę jego ostrej zupy - kiedy to mówił, uśmiechał się krzywo. Jeżeli w ogóle się uśmiechał. - A to coś, co on nazywa zupą, dla mnie smakuje gorzej od szczyn morena. No i oczywiście Rossac puszył się jak indor w okresie godowym, gdy opowiadał, że to wszystko działo się w jego zajeździe.

Dannyl nie wiedział, czy w głosie kowala słyszał niechęć do starszego brata czy może ten sobie tylko z nim pogrywał. Uznał, że zachowanie milczenia na dłuższą chwilę będzie odpowiednim rozwiązaniem, a dopiero potem pomyśli się, co dalej. Siedzieli więc obaj, tworząc między sobą sieci ciszy, a jednocześnie trwając w gwarze portu.

Wtem Barog wybuchł rechotem tak gromkim i głośnym, że kilku przechodniów obejrzało się na nich z zaciekawieniem. Wówczas mężczyzna zbył ich machnięciem ręki, klepnął się mocno w kolano, splunął, otarł tworzącą się w kąciku lewego oka łzę (zapewne ze śmiechu) i tylko zerknął na swojego pracownika, zanim znowu nie roześmiał się.

- Gdybyś... - zdołał wreszcie wyrzucić z siebie, powoli powstrzymując chaotyczny chichot. - Gdybyś widział swoją twarz! Bezcenne! - Poklepał się po brzuchu. Twarz miał całą czerwoną, zupełnie jak jeden z wyrabianych przez niego mieczy. - Powinienem odtworzyć ją w napierśniku tego paniątka, które poprosiło mnie o nowy - zachichotał na własny żart i Dannyl nie mógł się powstrzymać i również rozłamać trzymając jego usta w ciągłym grymasie lód i uśmiechnąć się głupkowato.

- Więc... nie wydasz mnie? - zapytał chłopak niepewnie, kiedy Barog przestał się śmiać. Był zbyt głośny i mógłby nie usłyszeć wciąż nieco cichego ze strachu głosu.

- Jasne, że nie - odparł niemal natychmiast, jakby odpowiadał na jakieś oczywiste pytanie. - Dawno już nie miałem tak pracowitego dzieciaka w swojej kuźni. Pracujesz za czterech chłopów, a taki człowiek to skarb - dodał szczerze. Na początku Dannyl źle to zinterpretował i wykrzywił usta w niesmaku. - Nie, nie, źle mnie zrozumiałeś, chłopcze. Lubię cię. Jesteś dobrym człowiekiem - znowu ten uśmiech, ale tym razem zdawał się być ciepły i niespotykanie łagodny, taki, że prawie nie pasował do srogiej twarzy Baroga.

A potem zapanowała pomiędzy nimi głęboka cisza. Nie niezręczna - taka przyjemna, pełna zrozumienia. Słońce powoli znikało w tafli wody i zmieniało barwę nieba w niesamowity sposób, tak piękny, że Dannyl, patrząc na nie, na chwilę zapomniał o rozmowie z Barogiem, liście gończym, bitwie na morzu sprzed kilku tygodni, odniesionych ranach, ojcu - po prostu wszystkim. Zamiast tego wyobrażał sobie, iż siedzi gdzieś sam na wzgórzu i stamtąd obserwuje wspaniały zachód słońca, z dala od trosk oraz obowiązków.

W pewnej chwili coś pojawiło się na horyzoncie, gdzieś na tle znikającego słońca. *Pewnie tylko statek handlowy* - pojawiło się w jego głowie w pierwszej chwili, lecz Dannyl szybko zmienił zdanie. Typowy okręt dostawczy nie bujałby się tak bardzo na boki. Na dodatek krypa wyglądała, jakby byle fala czy podmuch wiatru miały ją roznieść na drzazgi. Płynęła tak szybko, że chyba chciała rozbić się o brzeg portu.

Dannyl po raz kolejny tego dnia poczuł strach. Wiedząc, że Miasteczko Jeży od zachodu graniczy z Archipelagiem Skagos, nie mógł powstrzymać się od najgorszych przypuszczeń. Wolał nie czekać, czy mają się sprawdzić.

- Zwołaj ludzi i zabierz z portu jak najwięcej ludzi - odezwał się stanowczym tonem do Baroga, podnosząc się i nie spuszczając wzroku z mknącej, rozchybotanej łodzi. Była może milę od wybrzeża, ale z jej prędkością dystans nie miał wielkiego znaczenia. Chłopak spojrzał gorączkowo na wielkiego mężczyznę. Ten przyglądał się mu z konsternacją. - Skagos!

Słowo pojawiło się między nimi tak, jak płomień rozpala się na świeczce i zostało tam na moment. Twarz Baroga jakby stężała i pojawiło się nań więcej zmarszczek (jeśli było to możliwe). Kiwnął tylko głową na Dannyla, po czym zniknął w szerokich drzwiach znajdujących się obok zakładu. Chwilę potem wrócił z krukiem na ramieniu oraz koniem ciągniętym za wodze. Wsiadając na jego grzbiet, spojrzał w kierunku zbliżającego się statku ze ściągniętymi brwiami. Szarpnął ramieniem i czarne ptaszysko poderwało się do lotu z wrzaskiem. Pofrunęło wzdłuż portu z głośnym *qourk*.

- A ty co zrobisz? - rzucił Barog z końskiego grzbietu po tym, jak odprowadził kruka wzrokiem.

- Spróbuję ich powstrzymać - odparł Dannyl, wskazując głową na rozchybotaną krypę. - Nie wygląda na wielką. Powinienem dać radę.

Mężczyzna kiwnął głową, potakując.

- Zabierz stąd tych ludzi. Im mniej zobaczą dzikusy ze Skagos, tym większa szansa, że nie wrócą tu znowu - powiedział mu chłopak, cofając się w stronę wejścia do kuźni.

- Powiadomię radę miasta.

- I znajdź Aricę! - krzyknął jeszcze, zanim zniknął w dusznej głębi zakładu i pobiegł do pomieszczenia, gdzie przetrzymywano czekające na kupców zbroje. W wirze połyskujących w słabym świetle napierśników, hełmów i tylko bogowie wiedzą, ilu jeszcze rzeczy, odnalazł niedawno skończone nagolenniki i na ich widok uśmiechnął się kwaśno. Zaraz jednak ochłonął, zabrał je ze stojaka, szybko pochwycił byle jaką kolczugę oraz rękawice i wyszedł ze zbrojowni. Trzymając wszystko w jednej ręce, kopniakiem otworzył drzwi do składu z bronią, zabrał stamtąd topór oraz jednoręczny, lekki miecz, po czym wyszedł przed zakład.

Barog szybko oczyścił port z ludzi. Dannyl, rozglądając się podczas ubierania zbroi, nie dostrzegał na wybrzeżu żywej duszy. Słońce w połowie zniknęło już za horyzontem i malowało niebo dookoła niego we wszystkie ciepłe kolory tak pięknie, że chłopak pozwolił sobie na podziwianie tego widoku.

Błoga chwila spokoju nie trwała jednak wiecznie. Do uszu Dannyla dobiegły piskliwe pokrzykiwania dzikich z ich pędzącej łodzi, a im bliżej portu byli, tym widoczniejsza stawała się ich połyskująca w świetle broń. Większość z nich ściskała włócznie, po jednej w każdej ręce i na dodatek z trzy przymocowane do pleców, choć część wojowników wolała walczyć toporami lub zwykłymi widłami, jakich używali rolnicy.

Ale nieważne, co trzymali, byli niebezpieczni. I szybcy.

Do jego głowy zaczęły napływać wspomnienia sprzed zaledwie trzech tygodni, kiedy to czekał, aż zacznie się bitwa z Rhonayczykami, i Dannyl znowu poczuł, jak ogarnia go strach. Kiedy to stał się taki tchórzliwy? Dreszcze przebiegły mu po plecach i nic nie mógł poradzić na to, że dłonie trzęsą mu się jak liście na wietrze.

Potem jednak przywołał w myślach wszystkie osoby, które zdążył poznać w miasteczku. Głośnego Rossaca, Tenię i jej morena, Mirę, które zawsze patrzyła na niego w nieodgadniony sposób, ponurego Baroga, a przede wszystkim Aricę. Jak śmiał przybywać do nich i nadużywać ich dobroci, a później nawet nie próbować ich obronić? Gdzie w tym wszystkim podział się jego honor? Co się stało z odwagą?

Ogarnięty silnym niezadowoleniem z siebie mocniej zacisnął dłonie na rękojeści miecza. Palcem lewej ręki przejechał po ostrzu topora i z rozczarowaniem stwierdził, że był tęp jak diabli. Ale nie miał teraz czasu na ponowne naostrzenie broni. Miecz zresztą też wyglądał jak siedem nieszczęść, ale przynajmniej był czysty i nie sprawiał wrażenia, jakby miał zaraz rozpaść się na części pierwsze.

- Spokojnie, spokojnie... - mówił do siebie półgłosem, starając się wyciszyć i zabić czas. Oczekiwanie na dzikich nagle strasznie się przedłużało. Pragnienie obronienia wszystkich znanych mu mieszkańców tego miasteczka dodało mu odwagi oraz siły. Poczuł, że da radę pokonać całą załogę łodzi. A jeśli nie - umrze, próbując. Taka śmierć w pełni by mu odpowiadała. - Dam sobie radę.

Wtem obok niego rozległ się głośny trzask - to krypa dzikich z impetem dobiła do portu i wojownicy wylewali się z niej jak rozwścieczone szerszenie. Zanim Dannyl zdążył zorientować się w sytuacji, jeden ze Skagosów spróbował ciąć go w łydkę. Siekiera odbiła się od twardego nagolennika, a jej ostrze zdołało jedynie zrobić wgniecenie w powierzchni ochraniacza. Niezadowolony dziki krzyknął coś gardłowym głosem, po czym wyprowadził kolejny cios, tym razem na biodro chłopaka. Ten w ostatniej chwili wcisnął swój miecz między ostrze siekiery a kolczugę oraz znajdujące się pod nią biodro, a lewą ręką szybko sięgnął po przytroczony do pasa topór i zdzielił nim mężczyznę. Jedynie stracił przytomność, ale przynajmniej przestał go atakować.

Od razu na miejscu wojownika pojawili się kolejni. Zobaczywszy, co zrobił Dannyl z ich pobratymcem, zatrzymali się raptownie i patrzyli to na omdlałego wojownika, to na chłopaka, który poczuł, że ogarnia go przerażenie. Ich oczy...

Szybko jak błyskawica skoczyło na niego trzech mężczyzn, z ust lała im się ślina. Z daleka mogło to wyglądać jak wygłodniałe psy rzucające się na ochłapy po obiedzie. Jeden z nich miał dwuręczny miecz, długi i ciężki, drugi dwa toporki w dłoniach i dwa przytoczone do pasa, a trzeci długie sztylety do podcinania gardeł. Ten z toporami zaatakował pierwszy, tnąc na wysokości piersi chłopaka, a zaraz potem wojownik z mieczem wyprowadził cios na udo Dannyla. Jeden cios został odparty tą samą bronią, a drugi chronionym przez fragmenty zbroi przedramieniem. Ciało zatrzęsło się od siły uderzeń.

Nagle coś objęło jego usta, jakaś spocona, szorstka, śmierdząca dłoń, brązowa od brudu i krwi, a następnie podjechała do góry i złapała kępę włosów Dannyla w garść, przechylając ją do tyłu i odsłaniając gardło. Chłopak poczuł zimne ostrze na krtani, jedyną naostrzoną broń spośród wszystkich, które posiadali Skagosi. Pozostali dwaj walczący mężczyźni opuścili ręce i wpatrywali się w Dannyla oraz trzymającego go z tyłu napastnika wyczekująco. Chłopak usłyszał tuż obok siebie złowieszczy rechot, a gorący oddech uderzył w jego lewe ucho. Spróbował się wyszarpnąć, ale zamiast zamierzonego skutku ostrze sztyletu lekko rozcięło mu skórę na gardle.

Poczuł, że zaczyna panikować...

...gdy nagle uścisk na jego głowie ustał, a sztylet płynnie ześlizgnął się z jego gardła. Ciepły oddech ponownie uderzył w jego ucho, lecz tym razem szybko zniknął, a zaraz potem Dannyl usłyszał za sobą łomot. Z trwogą zerknął za siebie, aby zobaczyć, że trzymający go wcześniej wojownik leżał na ziemi na boku ze strzałą sterczącą z biodra. Chłopak rozejrzał się dookoła, podobnie jak zdezorientowani Skagosi, aż wreszcie dostrzegł pędzącego na skarogniadym rumaku chłopca z łukiem i naręczem strzał i gdzieś za nim Baroga na swoim koniu.

Teraz albo nigdy.

Dannyl błyskawicznie wykorzystał sytuację - rzucił się na stojącego wojownika i ugodził go trzema szybkimi ciosami na bark, biodro oraz brzuch. Obok niego padł kolejny Skagos, zestrzelony przez małego łucznika, który znalazł się niedaleko walczących. Pozostali zaczęli się wycofywać, speszeni nieudanym najazdem, ale ani Dannyl, ani jeździec nie zamierzali puścić ich wolno. Łucznik popędził swojego rumaka i galopem wbiegł na wielkiego, grubego dzikusa, który z impetem wpadł do wody ze złamanym kręgosłupem. Dannyl natomiast zamachnął mieczem, po czym skrócił o głowę zbliżającego się z prawej wojownika jednym płynnym ciosem.

- Uważaj! - Dannyl usłyszał krzyk jeźdźca, obrócił się w lewo i czyiś sztylet zagłębił się w jego brzuchu po rękojeść. Ciało przeszył mu ból, ale nie tak straszliwy jak ostatnim razem, skrzywił się jednak, bo napastnik trafił centralnie w jego ranę, która niedawno się zagoiła. Dzikus miał wykonać kolejne pchnięcie, zapewne w serce, kiedy ktoś zdzielił go patelnią w tył głowy i pozbawił go przytomności.

Chłopak zamrugał zdziwiony. Nie miał pojęcia, kto był tak głupi, żeby zostać w porcie, a przede wszystkim nie spodziewał się przeżyć do końca tego dnia. Zacisnął dłoń w miejscu, gdzie dźgnięto go sztyletem i czekał, aż jego domniemany napastnik upadnie i ukaże wybawcę.

- Dannyl!

- Arica... - westchnął przerażony, a zarazem potwornie zmęczony. Pewien, że nie ma już zagrożenia ze strony Skagosów, pozwolił wszystkim czekającym w kącie jego duszy emocjom zalać go jak fala. Puścił kolczugę i chwiejnym krokiem podszedł do dziewczyny. - Co ty tu...

- Barog kazał wszystkim opuścić port - odparła szybko, dysząc ciężko że zdenerwowania. Skórę miała białą jak kreda. - Pomogłam Mirze, ale kiedy wszyscy znaleźli się na Placu Wschodnim, nie mogłam ciebie znaleźć. Barog i Jory nie chcieli mi nic powiedzieć - spojrzała na dół, pewnie speszona faktem, że mogła zepsuć plan, jaki układał sobie Dannyl, kiedy chciał odeprzeć atak. - Przepraszam.

- Nie, nie... Nie... przepraszaj - powiedział, z trudem łapiąc powietrze. Nigdy nie czuł się taki zmęczony. - Ważne, że Skagosów już nie ma.

- Ale oni wrócą, prawda? - posłała mu zaszklone łzami spojrzenie.

- Pewnie... Pewnie tak - odparł. Postąpił jeszcze dwa kroki i przytulił się do niej, opierając policzek na czubku jej głowy. - Ale na razie ich nie ma. I jesteśmy cali. To najważniejsze.

Patelnia upadła z brzękiem na ziemię gdzieś obok głowy nieprzytomnego wojownika, Arica złapała chłopaka w pasie, wtuliła się ostrożnie w jego kolczugę i na dzisiaj nie było więcej pytań.

Rozdział szósty

- Dannyl... Proszę, powiedz coś.

Słowa opadły na jego ramionach, lodowate jak śnieg w górach, po czym zbiegły po kręgosłupie, ciągnąc za sobą dreszcze jak koń ciągnie sanie. Chłopak wzdrygnął się.

- Ja nic nie pamiętam - powiedział cicho drżącym głosem, speszony, że emocje tak łatwo nim zawładnęły właśnie w tym momencie.

- Ty *nie chcesz* tego pamiętać - odparł Jory, którego stanowczy, głośny ton ostro kontrastował z panującą w holu ciszą.

- Jory, przestań - skarciła go Arica, odwracając na moment głowę w jego kierunku. Przez chwilę oboje miażdżyli siebie twardymi spojrzeniami.

- A niby dlaczego? - syknął, tym razem ciszej, co tylko wszystko pogorszyło. - Jego życie jest gorsze od naszego? Dlatego tak przy nim pękasz?

Dziewczyna puściła rękę Dannyla, wstała i podeszła do stojącego pod ścianą przy ozdobnej wazie chłopaka. Zanim ten zdążył się zorientować, spoliczkowała go nie za mocno, ale zdecydowanie.

- Jeszcze raz się tak odezwiesz, a inaczej z tobą porozmawiam - ostrzegła go. - Chciałabym ci przypomnieć, że zapominasz, z kim masz do czynienia. My to co innego niż on - wskazała na Dannyla ręką, nie odrywając wzroku od Jory'ego, który teraz stał na baczność pod ścianą, blady jak mleko.

- Przepraszam - mruknął, spuszczając głowę.

- Mam taką nadzieję - otaksowała go uważnie, a następnie odwróciła się i już chciała na powrót usiąść obok Dannyla, gdy drzwi obok nich otworzyły się, a spomiędzy nich wychynęła głowa jednego ze strażników.

- Możecie wejść. Burmistrz na was czeka.

Arica uśmiechnęła się do niespokojnego chłopaka pocieszająco, wyciągnęła w jego kierunku rękę, którą ten przyjął i oboje powoli weszli do sali audiencyjnej. Jory podążał za nimi, a głównie dziewczyną, niczym cień. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie drzwi, Dannyl uważnie obejrzał stojących przy ścianach strażników, po czym jego zimne oczy spoczęły na królewskim posłańcu.

Z początku rozglądał się dookoła. Choć jego ojciec był ważną osobą w królestwie, a jego siedziba należała do jednych z bardziej pokaźnych, chłopak nigdy nie widział tyle pozłacanych mebli za jednym razem. Na dodatek pokój był ogromny, a sklepienie niespotykanie wysoko, toteż wchodząc do środka można było poczuć się jak w ogromnej jaskini pełnej diamentów.

Pociągnięcie za rękaw skupiło jego uwagę na rzędzie zdobnych krzeseł ustawionych w półokręgu we wnętrzu sali. Po obu bokach szeregu stały ogromne świece, które dawały zaskakująco dużo światła, więc Dannyl mógł dokładnie przyjrzeć się wszystkim członkom rady miasta.

- Ten pierwszy od lewej to przedstawiciel Południowej Dzielnicy. Obok niego jest zarządca Północnej - wytłumaczyła Arica, stając na palcach i szepcząc mu do ucha. Miała jeszcze chwilę czasu, zanim zacznie się przesłuchanie, gdyż wszyscy radni wpatrywali się w niego z zamyśleniem, czasem wymieniając się między sobą spostrzeżeniami. - Potem, w środku, siedzi burmistrz. To ten na największym krześle - wskazała na okrągłego mężczyznę skinięciem głowy. Na włosach spoczywał mu mały srebrny wieniec imitujący splecione gałęzie, reprezentujący jego stanowisko. - Po jego lewej siedzi kapłan, a po prawej poseł królewski - wyczuł w głosie znajomej nutkę niechęci, ale postanowił tego nie komentować. - A dalej siedzą przedstawicielki Wschodniej i Zachodniej Dzielnicy. Ta z Wschodniej wydaje się być najmądrzejsza z całej rady. Ten z Północy to idiota.

Uśmiechnął się na ten komentarz, po czym spojrzał Arice prosto w oczy i skinął do niej głową. Prostym gestem chciał jej podziękować, że odrobinę go rozluźniła. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, a następnie odeszła na bok do Jory'ego, który podpierał ścianę po prawej Dannyla.

Ktoś odchrząknął, lecz po chwili przeobraziło się to w głośny kaszel, jednak chłopak i tak skierował swoje spojrzenie oraz uwagę na radę miasta. Podczas gdy kapłan nadal próbował oczyścić gardło, pozostali radni wpatrywali się w chłopaka z uwagą. Dannyl wzdrygnął się. Sprawiali wrażenie, jakby oceniali, czy jest godzien ich zaufania. Aż chciał krzyczeć, że dopiero co tego dowiódł, ale zachował milczenie. Złożył ręce za swoimi plecami, mocno zaciskając jedną dłoń na nadgarstku drugiej.

- To niego przyniósł tutaj Andryt, prawda? - zarządca Północnej Dzielnicy pochylił się do znajomego z południowej części miasteczka. Chyba myślał, że Dannyl jest zbyt głupi, żeby go usłyszeć. - To z jego powodu mieliśmy te wszystkie niepotrzebne zebrania?

Chłopak powstrzymał się od przewrócenia oczami i czekał. Arica miała rację.

A potem zaczęło się przesłuchanie. Rada zadawała pytania, z początku dotyczące bitwy w porcie, lecz potem temat zaczął schodzić na samego Dannyla. Nie podobało mu się to, dlatego w miarę możliwości, aby nie wzbudzać niczyich podejrzeń, udzielał wymijających odpowiedzi. Później zaczęto z nim dyskutować o sposobach obrony miasta przed kolejnym atakiem. Burmistrz oznajmił, że już wysłał list do króla, który przyśle im mały garnizon, około setki żołnierzy jako wsparcie oraz że wysłał małą łódź rybacką na zwiad niedaleko Skagos.

Przez cały czas Dannyl nie mógł wyzbyć się uczucia, że ktoś przeszywa go swoim wzrokiem. W końcu spróbował odnaleźć tę osobę i zetknął się z posłem królewskim, który zdawał się nie słuchać radnych, a tylko wpatrywać w chłopaka. Poczuł dreszcze na plecach.

- Zwrócimy się do ciebie za kilka dni i ustalimy, co dalej. To zależy od raportu naszych zwiadowców - oświadczył kapłan i zebranie skończyło się.

Arica podeszła do Dannyla, chwyciła go za nadgarstek i lekko pociągnęła w kierunku wyjścia. Dopiero teraz chłopak poczuł, jak bardzo zdrętwiały mu nogi, więc z początku nie szedł zbyt szybko. Wychodząc na korytarz, rzucił ostatnie spojrzenie na salę audiencyjną i znowu jego oczy napotkały wzrok posła.

Jego spojrzenie naprawdę go niepokoiło.

- I jak się czujesz? - dobiegło do niego, gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi. Spojrzał na Aricę zdezorientowany. - Pytałam, jak się czujesz?

- A... Dobrze, w porządku - pokiwał głową, jakby to miało coś oznaczać. Wzrok miał wbity w ziemię, a brwi ściągnięte.

- Jakoś ci nie wierzę - odparła. Dannyl tylko zerknął na nią kątem oka - jedną brew uniosła zdawkowo do góry i przygryzła dolną wargę. Znowu wpatrzył się w lśniącą podłogę pod jego stopami.

A potem poczuł tylko, jak ktoś łapie jego nadgarstek i mocno ciągnie. Chwilę potem zbiegał już za Aricą po schodach, a potem wypadł przez wielkie wrota na tętniącą życiem jedną z głównych ulic miasteczka. Zatrzymał się raptownie, oszołomiony hałasem, który ostro kontrastował z głęboką ciszą, jaka panowała w domu burmistrza, po czym rozejrzał się dookoła. Powozy z wszelkiego rodzaju towarem - belami tkanin, skór i dywanów, żywymi zwierzętami czy roślinami - szybko przecinały drogę w obu kierunkach. Dannyl odszukał wzrokiem Aricę w samym centrum tego zamieszania. Stała na środku ulicy, zupełnie nie zwracając uwagi na mijające ją pojazdy oraz pokrzykiwania niezadowolonych jej obecnością kupców, i patrzyła na niego wyczekująco z prawą brwią uniesioną ku górze.

Wtem koń z wozu nieopodal spłoszył się, wierzgnął i wyrwał z trzymającej go uprzęży. W akompaniamencie własnego rżenia oraz krzyków przerażonych ludzi, popędził na łeb na szyję prosto przed siebie, czyli dokładnie w kierunku Arici. Dziewczyna zauważyła zagrożenie, ale otaczające ją wozy uniemożliwiały jej drogę ucieczki. Dannyl doskonale widział, jak na jej twarzy maluje się czyste przerażenie. Nie myśląc wiele, rzucił się do przodu i dosłownie w ostatniej chwili zabrał znajomą spod końskich nóg. Poczuł, że jedno z kopyt zwierzęcia ledwie dotyka jego bawełnianej bluzy i że mocno obejmuje Aricę, prawie ją zgniatając. Z rozpędu, w jakim na nią skoczył, rzucił ich oboje na stragan z warzywami po drugiej stronie ulicy. Usłyszał tylko trzask, ale nie miał pojęcia czy to skrzynia z owocami, czy kręgosłup któregoś z nich.

Po chwili usłyszał jęk, gdzieś bardzo blisko jego prawego ucha, a następnie czyjeś zimne, silne dłonie szarpnęły za jego koszulkę na plecach i podciągnęły szybko do góry. Kołnierz ubrania wpił mu się w szyję, ale to i tak nie mogło się równać z bólem, jaki wywołało szarpnięcie za włosy. Aż przypomniał mu się dziki, który złapał go w ten sam sposób.

- Za kogo ty się uważasz?! - warknął ostro Jory, który trzymał go kurczowo tuż przy sobie. Odsunął chłopaka od zniszczonego straganu i leżącej na jednym z wielkich worków Arici. - Jak śmiesz się tak na nią rzucać?!

Szarpnął jego głową i cofnął się o jeszcze parę kroków. Dannyl rozejrzał się szybko, ale całe miasteczko zdawało się ignorować tę sytuację. Już wiedział, że nie znajdzie pomocy u żadnego potencjalnego świadka. Był zdany na siebie...

- Jory - Arica zakaszlała głośno, zakrywszy usta pięścią. Chłopak momentalnie puścił Dannyla i podbiegł pomóc dziewczynie. Ostrożność, z jaką złapał ją za ramiona i postawił na nogach, sprawiła, że w głowie Nagolennika zaczęło pojawiać się mnóstwo pytań. Kim oni tak naprawdę dla siebie byli? - Nic mi nie jest, tylko trochę się poobijałam - zbyła jego pytania machnięciem ręki. - No, może jeszcze zafarbowałam koszulkę na nowy kolor - mruknęła z niesmakiem, spojrzawszy na tył ubrania, który nasiąkł sokiem z rozgniecionych owoców granatu. - Ale mogło być gorzej, gdyby... - znowu kaszlnęła - gdyby Dannyl mnie nie uratował.

- Czy aby na pewno? - Jory zerknął na Dannyla przez ramię. - Wyglądało to tak, jakby chciał ciebie zaatakować.

Arica posłała mu spojrzenie pełne niedowierzania. Aż oczy jej się rozszerzyły, a policzki zarumieniły.

 - Atakować? -zapytała. - Mogłabym skończyć jak jeden z owoców w tym koszu, gdyby ktoś na mnie nie skoczył! - wskazała ręką na wgnieciony worek. - A gdzie ty się podziewałeś, kiedy wyszliśmy z domu burmistrza? - zbliżyła się do chłopaka kilkoma szybkimi krokami.

- Ja... ja...

- No właśnie - uniosła nieco podbródek, zmierzyła Jory'ego uważnie, po czym minęła i podeszła do Dannyla. Ten patrzył na ich małą kłótnię z niedowierzaniem. Nigdy jeszcze nie widział tak podbudowanej Arici, a fakt, że zaczynał kwestionować jej stosunek do Jory'ego, tylko bardziej wprawił go w zakłopotanie. Zamrugał kilkakrotnie, a następnie zetknął się z hardym wzrokiem Arici.

- Idziemy? - spytała z nutką irytacji w głosie, której pewnie nie chciała dodać. Dannyl postanowił nie ciągnąć tematu i jedynie pokiwał głową, po czym ruszył za dziewczyną w kierunku targu w centrum miasta. Idąc, spojrzał przez ramię i zobaczył, jak Jory przygląda mu się uważnie i nieufnie. Spróbował to zignorować.

Potem na bardzo długo zapanowała pomiędzy nimi cisza. Arica poprowadziła ich na plac, pełen kolorów, rozbieganych dzieci i krzyków, gdzie można było nabyć i meble zrobione w kraju, i drobiazgi przywiezione zza granicy. Za stoiskami stały tuż obok siebie przymierające głodem kobiety, które starały się zarobić marne grosze za własnoręcznie uszyte łachmany, bogaci rolnicy ze swoimi tłustymi kurami, czarni tkacze koszów wiklinowych wielkości człowieka oraz skośnoocy kucharze o pomarańczowej skórze sprzedający pieczone gryzonie nabite na patyk, wcześniej obtoczone w aromatycznych przyprawach, od których aż kręciło w nosie. Pomiędzy straganami kręcili się niemi albinosi-niewolnicy jakichś wielmożnych panów wysłani na zakupy, marynarze z innych krajów i chyba połowa miasteczka.

Po raz kolejny w ciągu tego dnia Arica złapała Dannyla za rękę i wciągnęła w sam wir targowiska. Od zapachów oraz unoszącego się między ściśniętymi stoiskami pyłu zaszczypały go oczy i zaswędział nos, a pękające co chwila pod jego butami śmieci zdawały się rozbrzmiewać tuż obok jego uszu. Zanim się zorientował, znaleźli się przy stoisku z fioletowymi owocami o dziwnym kształcie, tuż obok sklepu z fermentowanym mięsem. Dannyl wciągnął powietrze do nosa i od słodyczy, jaką wydzielały owoce, aż zrobiło mu się niedobrze. Potem błyskawicznie dołączyła do niej woń zalewy, w której pływały pasy wołowiny i drobiu.

- Co tu robimy? - zapytał dosyć głośno, starając się przebić przez hałas targowiska.

- Kupujemy owoce bali - odparła tak samo Arica. Puściła jego rękę i ustawiła się w kolejce do stoiska z owocami. Dannyl miał chwilę na rozejrzenie się.

Jego uwagę szybko przykuło stoisko z fermentowaną żywnością. Znacznie bardziej zaniedbane od pozostałych - trzymające dach spróchniałe belki wyglądały, jakby miały się lada moment załamać - przyciągało głównie pijaczków, ciekawskie małe dzieci oraz owinięte w chusty stare kobiety. Chłopak rozejrzał się za właścicielem stanowiska i ujrzał włochatego karła stojącego za ladą, zapewne na stołku. Twarz miał pooraną bliznami, a minę srogą. Duże, przysadziste czoło zasłaniało brwi - czy on w ogóle je miał? - i nieco zakrywało żółte oczy łypiące na wszystkich uważnie. Dannyl, zniechęcony, już chciał odwrócić wzrok, gdy sprzedawca zaczął wychwalać swój towar.

- Pyszne, kwaśne mięsko! Tylko u mnie, zapraszam! - uniósł wysoko ogromny słoik rozmiarów własnej głowy, po czym zdjął wieko i zaciągnął się zapachem zalewy. - Całe zdrowie warte jedynie trzy kopy! Kto chce spróbować?

Postawił naczynie na ladzie, wygiął się, aby sięgnąć po niewielkie szczypce znajdujące się pod nią, którymi następnie wyciągnął kilka kawałków mięsa i położył je na niezbyt czystej desce. Kilka osób zbliżyło się i przypatrywało, jak karzeł zgrabnymi ruchami odkrawa niewielkie kawałki mięsa. Z uprzejmym, serdecznym uśmiechem, który ani trochę nie pasował do jego twarzy, zaczął częstować ciekawskich. W pewnej chwili jego spojrzenie zerknęło się z niepewnym wzrokiem Dannyla. Uśmiech mu się powiększył, a oczy rozbłysły.

- Podejdź, chłopcze, mam dla ciebie moją specjalność! - wykrzyknął. Oczy zgromadzonych skierowały się na Dannyla, który nagle chciał znaleźć się gdzieś daleko. - Dla wszystkich, mój najlepszy produkt! Najpierw spróbujecie, a dla zainteresowanych obniżam cenę o połowę! - wymachiwał rękoma, skupiając na sobie uwagę coraz większej ilości osób, choć  jedną dłoń nadal miał zaciśniętą na nożu. - Podejdź, podejdź, chłopcze, ty spróbujesz pierwszy - zachęcił go.

Ludzie patrzyli na niego wyczekująco i Dannyl poczuł ciążącą na nim presję. Powoli podszedł do stoiska i sceptycznym wzrokiem patrzył, jak karzeł wyciąga spod lady średniej wielkości słoik zawinięty od zewnątrz w czarny materiał.

- Co to jes...

- Najlepszy produkt, powiadam wam, najlepszy! - przerwał mu głośno karzeł. Chłopak wyczuł, że coś jest nie tak, ale nie miał pojęcia, jak wykręcić się z tej sytuacji.

Z narastającym niepokojem czekał i patrzył na sprzedawcę, który chwilę siłował się z otworzeniem słoika, a kiedy wreszcie mu się udało, musiał odrobinę odsunąć głowę od naczynia, bo jego także odrzucił ten okropny zapach. Karzeł, zapewne tylko dzięki sile woli, nie zakrył nosa koszulką, i łyżką wyłożył kilka czarnych kawałków mięsa na niewielki, blaszany półmisek. Sięgnął po wcześniej używany nóż, a następnie rozkroił jeden z kawałków na pół. Czarne od zewnątrz, a różowoczerwone od wewnątrz, nie wyglądało strasznie źle, ale ten zapach...

- Spróbuj, chłopcze, śmiało - powiedział karzeł, nabiwszy kawałek na czubek noża i przysunąwszy go prawie pod nos Dannyla. Chłopak prawie niezauważalnie pokręcił głową. - Spróbuj, do diaska - syknął tak cicho, że tylko oni dwaj to usłyszeli. Dannyl już miał zdjąć mięso z ostrza, kiedy...

- Zostaw go, Mardok - usłyszał za sobą i omal nie popłakał się ze szczęścia. Cofnął się o kilka stóp, z każdym krokiem odzyskując pewność siebie.

- Nie masz tu nic do roboty - warknął niezadowolony w odpowiedzi. Arica roześmiała mu się w twarz.

- Owszem, mam. Muszę znaleźć sobie nową koszulę - uśmiechnęła się nonszalancko, ale mina szybko jej zrzedła. - Chodź, idziemy - zwróciła się do Dannyla.

- Jeszcze się z tobą policzę, królewno! - krzyknął za nią Mardok, gdy odchodzili od jego stoiska.

- Goń psy!

Opuścili targowisko i skierowali się do portu, a stamtąd do ujścia Andrytu, tam, gdzie Arica odnalazła Dannyla. Usiedli na kamieniach, delikatnie nagrzanych od słońca, które świeciło dzisiaj przez cały dzień. Dziewczyna dała chłopakowi jeden z owoców bali i wytłumaczył, jak powinno się je jeść. Pod fioletową skórką o niespotykanej wcześniej strukturze krył się słodko-kwaśny miąższ z malutkimi pestkami, które przyjemnie chrupały, gdy rozgryzało się je zębami. Później oboje zaczęli rozmawiać, głównie o radzie miasta, a potem o zwykłych, banalnych sprawach.

- O co chodziło z tym Mardokiem? - spytał Dannyl, kiedy na moment zapanowała pomiędzy nimi cisza.

- To kanciarz. Daje nieznajomym jedzenie, od którego mdlejesz, a potem cię okrada, gdy, jak zawsze tłumaczy, próbuje pomóc ci wstać.

- To okropne! - oburzył się.

- Oczywiście - dziewczyna wzruszyła ramionami. - I tak jest bogatszy, niż się wszystkim wydaje. Ale tacy ludzie zawsze chcą więcej i więcej.

- Straż o nim wie?

- Zdarzają się tacy, którzy na niego donoszą, ale nigdy nie mają twardych dowodów, więc straż nie zawraca sobie nim głowy - odparła. Kiedy mówiła, jej głos był obojętny, a wzrok nieobecny.

- Dzięki, że uratowałaś mi skórę. Może nie mam nic drogocennego, ale wolałbym nie wiedzieć, co by się stało, gdybym to zjadł.

Dziewczyna zwróciła głowę w jego stronę i uśmiechnęła się lekko, trochę z przykrością.

- Nie ma za co. Ktoś przecież musi nas ochronić, kiedy Skagosi zaatakują.

Rozdział siódmy

Wszystko wydarzyło się, bo usłyszano krzyk.

Ale po kolei. Najpierw było zimno, okropnie zimno. Jesień zawitała do miasteczka i nie brała jeńców. Tego dnia wiał zimny wiatr od zachodu, niosący ze sobą drobny, siekący w twarz deszcz. Port zdawał się być prawie pusty ze względu na pogodę, podobnie jak reszta ulic - wszyscy chowali się w domach czy karczmach i czekali, aż ulewa minie.

Dannyl pracował u Baroga. W kuźni zawsze było ciepło, dlatego chłopak szybko zapomniał o panującej na zewnątrz pogodzie. Był mokry, ale od potu. Barog nie miał tego dnia nastroju do rozmów (jakby kiedykolwiek było inaczej), więc trwającą w zakładzie ciszę przerywało tylko uderzanie młota o rozgrzany kawałek metalu, który potem miał być grotem włóczni. Chwilę potem syknięcie, jakby wąż zamieszkał w kuźni i teraz wybudził się ze snu, dotarło do uszu Dannyla. Chłopak pozwolił sobie odsapnąć i wytrzeć spocone czoło.

- Idź odpocząć - znikąd w drzwiach do części z piecami pojawił się Barog. Jego sylwetka ostro rysowała się w wejściu. - Dokończę za ciebie robotę - dodał, widząc wahanie chłopaka. Kilkoma wielkimi, szybkimi krokami pokonał dzielącą ich odległość i, nie dbając o delikatność, zabrał z rąk Dannyla narzędzia. - Idź już.

Chłopak nie zaprotestował, zabrał z wieszaka obok wyjścia ścierę oraz płaszcz i wyszedł na dwór. Wiatr na moment ustąpił i z nieba padała teraz mżawka. Dannyl pozwolił, aby kropelki deszczu rozbijały się na jego twarzy, przynosząc chwilową ulgę. Zdziwiło, ba, zaniepokoiło go zachowanie Baroga, ale nie chciał wypytywać go, o co chodzi. Najwyraźniej mocno wstrząsnęła nim wiadomość, że istnieje prawdopodobieństwo ataku ze strony Skagosów, i stąd ta nerwowość.

Do uszu dobiegł mu szmer, otworzył więc oczy i rozejrzał się. Ze sklepów i pijalni zaczęli wychodzić inni ludzie - marynarze, kupcy oraz mieszkańcy miasteczka. Część z nich uśmiechała się do Dannyla, inni kiwali mu głowami na powitanie, a chłopak - choć oszołomiony nagłymi oznakami dobroci - odpowiadał tym samym. Wyglądało na to, że ludzie nie nienawidzili go, tak jak przypuszczał, tylko darzyli sympatią i wdzięcznością. *Kto wie, od kiedy* - dodał jakiś głos z tyłu jego głowy.

Przyjemny spokój w porcie zakłócił czyiś krzyk. Wszyscy zaczęli szukać tej osoby wzrokiem - to jakiś mężczyzna stał na pokładzie jednego ze statków zacumowanych najdalej na morzu i wskazywał pewien obiekt ręką. Dannyl i kilku innych pobiegło w jego kierunku, aby zrozumieć, o co mu chodzi. Kiedy znaleźli się na miejscu, mężczyzna znowu wskazał w stronę morza - na horyzoncie widać było kłęby dymu, nawet płomienie, a na jego tle jakiś dryfujący obiekt.

Och tak, wszystko zaczęło się od krzyku.

Przebywający na statku mężczyźni spuścili na wodę jedną z łodzi ratunkowych i powiosłowali w kierunku obiektu. Dannyl wrócił na wybrzeże, gdzie od razu został zasypany pytaniami. Zignorował wszystkich, wzrokiem szukając płynącej łodzi oraz miejsca, do którego płynęła. Teraz dym oraz ogień był dobrze widoczny na morzu, zupełnie jakby woda zaczęła płonąć. Delikatne fale uderzające o brzeg niosły ze sobą pokrzykiwania ludzi z łodzi.

Mijały minuty, choć zdawały się być godzinami. Wiatr znowu się wzmógł i deszcz na powrót siekł twarze zebranych na promenadzie. Po chwili ktoś oznajmił, że łódka wraca. Ciekawscy ludzie, włącznie z Dannylem, pobiegli na piaszczysty brzeg w prawej części portu, w stronę którego wiosłowali mężczyźni. Nawet z daleka dało się słyszeć czyjeś gorączkowe protesty oraz osoby, które próbowały tego kogoś uspokoić. Zebrani na plaży wymienili zaniepokojone spojrzenia. Bez oporów przepuścili Dannyla, kiedy ten wyszedł na spotkanie dobijającej łodzi. Wszedł do morza - na bogów, ale było zimne - aż po kolana i pomógł wyciągnąć szalupę na piach. Wiosłujący mężczyźni mogli w końcu puścić wiosła i odpocząć, a ciżba zebrała się wokół reszty załogi.

I znowu krzyk.

W łodzi siedziały trzy osoby. Dwóch mężczyzn - pewnie ojciec i syn- i kobieta. Teraz młody wybudzał się ze snu, a może odzyskiwał przytomność, i z krzykiem orientował się, gdzie jest. Twarze wszystkich były brudne od sadzy oraz zaschniętej krwi, a ciała skryte pod dziurawymi łachmanami - tym, co po nich zostało - poparzone. Kobieta, pomimo oszołomienia, starała się zakryć swoje ciało dłońmi.

Głos. Pytanie. Kim jesteście? Co się stało? Kobieta skierowała na właściciela głosu przerażone spojrzenie, tak jak zając patrzy w oczy psa myśliwskiego. Rozchyliła drżące usta i zaczęła bełkotać. "Jesteśmy rybakami. Byliśmy". Na morzu płonął statek. Podpłynęli tam - ona, jej mąż i syn - aby zobaczyć, czy nie można komuś pomóc. Kiedy byli przy wraku, znikąd pojawili się Skagosi i mała łódka rybacka skończyła jak wielki statek, do którego podpłynęli. Jakimś cudem wszyscy zdołali wsiąść na fragment pokładu, którego nie strawiły płomienie, odnaleźli wiosło i spróbowali dotrzeć do *jakiegokolwiek* brzegu.

- Czyj statek zobaczyliście na morzu? Czy widzieliście czerwoną flagę? - jeden z mężczyzn wystąpił z zebranego tłumu. Rybaczka spojrzała na niego bez zrozumienia. - Czy widziałaś czerwoną flagę?

- W-wszystko... Wszystko było czerwone - wykrztusiła z siebie, po czym zupełnie się rozpłakała. Syn objął ją ramionami, szepcząc uspokajające słowa i próbując ją wyciszyć. Trzeci rybak wciąż był nieprzytomny.

Ludzie popatrzyli na Dannyla, jakby ten znał odpowiedzi na wszystkie ich pytania i przepowiadał przyszłość. Jednak to, co miało nadejść, wiedzieli wszyscy.

- Skagosi tu przypłyną, prawda? - odezwała się jakaś kobieta. Chłopak nie marnował czasu na odszukanie jej w tłumie.

- Jesteśmy straceni! - wykrzyknął staruszek, wymachując swoją laską.

- Gdzie wojska, o których mówił burmistrz?

- Król nic nie wie?

- Wszyscy straceni!

Ciżba zaczynała wariować, a Dannyla rozbolała głowa od ich mieszających się krzyków. Pierwsze o czym pomyślał, to znaleźć Aricę, osiodłać konie i wyjechać jak najdalej stąd, na wschód, do wysokich Gór Sztormowych. Zamiast tego pozostawił zebranych samych sobie i pognał do domu burmistrza przez opustoszone ulice Miasteczka Jeży.

Strażnicy strzegący wejścia próbowali go zatrzymać, krzyżując włócznie, ale Dannyl tylko przeskoczył nad nimi i z łoskotem otworzył wrota. Choć podłoga była śliska, biegł po niej w kierunku schodów, które pokonywał po dwa stopnie, po czym skręcił w korytarz, gdzie była sala audiencyjna. Gwardziści deptali mu po piętach, a w jego głowie wirowało tylko jedno zdanie: *Ratuj się.* Ignorował je tak, jak ignorował rzucane w jego kierunku ostrzeżenia gwardzistów. Nagle słyszał tylko uderzenia obcasów swoich butów o śliską posadzkę oraz brzęk zbroi biegnących za nim mężczyzn. Zobaczył, jak korytarz skręca w prawo na końcu, tuż przed wejściem do sali audiencyjnej, i spróbował wyhamować na kafelkach. Na szczęście jedynie mocno uderzył w zaryglowane drzwi i mógł biec dalej.

Usłyszał za sobą łoskot, jednak nie odważył się spojrzeć przez ramię. To jeden z gwardzistów nie wyrobił się na zakręcie i wpadł w jedną ze statuetek stojących po bokach drzwi. Hełm zadźwięczał jak blaszany półmisek spadający na ziemię, a nogi poplątały się z poluzowanym w pochwie mieczem. Jego pika leżała nieopodal. Drugi strażnik natomiast miał się świetnie i biegł dalej z zaciętym wyrazem twarzy, jedną ręką mocno trzymając włócznię. Wyglądał, jakby był gotów zabić chłopaka, żeby tylko ten nie mógł zakłócić spokoju burmistrza.

W mroku korytarza zalśniła klamka, której Dannyl szukał. Rozpędzony rzucił się ku niej, nacisnął obiema rękami, po czym wpadł do gabinetu burmistrza. Mężczyzna przy kości podniósł na niego zdziwione spojrzenie zza ogromnego biurka z jasnego drewna. Zanim Dannyl zdążył choćby złapać oddech, goniący go gwardzista złapał go za nadgarstki i wykręcił do tyłu, pochylając jego tułów do przodu. Zapewne wprawiony w trzymaniu ludzi w taki sposób, zablokował jego ramiona jedną ręką, a drugą pociągnął za włosy tak, że chłopak patrzył na burmistrza z poziomu biurka.

- Co się dzieje? - zapytał, jakby ta sytuacja była dla niego codziennością. Jeśli tak, to postanowił rządzić iście niespotykanym miasteczkiem.

- Ten człowiek wbiegł do domu jego lordowskiej mości bez pozwolenia - wyjaśnił gwardzista.

- Może miał powód? - burmistrz posłał strażnikowi przekonujące spojrzenie, uniósłszy prawą brew do góry, po czym uważniej przyjrzał się chłopakowi. - Ach, rozpoznaję go - uśmiechnął się lekko. - Stwórca naszych kłopotów we własnej osobie. Witaj, Dannylu.

Dannyl zdołał wygiąć usta w imitacji krzywego uśmiechu, ale skinąć głową już nie mógł.

- Puść go, Gregorze. Wszystko w porządku. Wracaj na stanowisko - mężczyzna zbył gwardzistę ręką, a dopiero gdy ten, choć z wahaniem, opuścił jego gabinet, kontynuował: - Usiądź sobie, Dannylu. Widać, że gnały ciebie wszystkie diabły, kiedy tu biegłeś. - Podniósł się z wyściełanego fotela, aby nalać sobie szklankę *mirinu*. Zaproponował porcję chłopakowi, ale ten odmówił. - Co jest powodem twej nagłej wizyty? - podjął, z powrotem zająwszy miejsce.

Dannyl przełknął ślinę, zebrał się w sobie i zaczął mówić. Opowiedział o tym, jak on i inni ludzie zobaczyli na morzu pożar, a później streścił opowieść uratowanej rybaczki. Przez cały czas czuł się tak, jak podczas przesłuchania, ale nic nie mógł z tym zrobić. W głowie wciąż rozbrzmiewały mu słowa "Ratuj się".

Kiedy skończył, szklanka *mirinu* była pusta, a brwi burmistrza ściągnięte w zamyśleniu. Widać było od razu, iż jakakolwiek swoboda opuściła jego ciało i teraz jest przejęty w prawie tak wielkim stopniu, jak Dannyl. Może po prostu lepiej to ukrywał. Po chwili ciszy, podczas której chłopak zdążył na moment się rozluźnić, a potem znowu zestresować, burmistrz podniósł wzrok - wcześniej wbity w powierzchnię gładkiego biurka - i popatrzył na Dannyla.

- I co ja mam zrobić? Co my mamy zrobić? - zapytał cicho. Szklanka z cichutkim brzękiem wylądowała na blacie.

My? Dannyl już chciał zaprotestować, że nie ma zamiaru planować żadnych bitew, ale zaraz uświadomił sobie, iż teraz jest częścią miasta. Podobnie jak reszta mieszkańców siedział w tym bagnie i samemu nie da rady z niego wyjść.

- Nie wiem, panie burmistrzu - pokręcił zrezygnowany, ze spuszczoną głową, a następnie podniósł ją i spojrzał w oczy mężczyzny po drugiej stronie biurka. - Ale będę walczył o to miasteczko do końca.

Rozdział ósmy

Czarne skrzydła, czarne wieści.

Tak od kilku dni mówili wszyscy mieszkańcy miasteczka. Chodziło im oczywiście o wiadomość otrzymaną od zwiadowców, którzy przeżyli wyprawę do Skagos. Pochmurnego dnia, kiedy wszyscy siedzieli przygnębieni w domach, kruk przyleciał do domu burmistrza, zastukał czarnym dziobem w szybę okna, po czym oznajmił chrapliwym *quork*, że nie niesie nic dobrego.

Wówczas rozpoczęto przygotowania. Choć Dannyl nie chciał pełnić tej funkcji, został wybrany podczas głosowania na dowódcę wszystkich sił, które miały bronić miasteczka. Po kilku godzinach już miał dość swojej roboty, na jego więc szczęście jeden ze strażników miejskich nie bał się tego zadania i przejął pełnioną przez Dannyla funkcję. Chłopak z radością za to objął miejsce przełożonego budowniczych, którzy stawiali mur obronny wokół wybrzeża. Musiał co prawda codziennie chodzić w te i z powrotem, nosząc wiadomości, doglądając budowy, wytykając błędy i dając wskazówki, ale było to znacznie lepsze zajęcie niż siedzenie na spotkaniach strategicznych z radą miasta.

Arica też miała ręce pełne roboty. Albo raczej butów. Nagle każdy mieszkaniec Miasteczka Jeży znalazł dziury w swoich butach, które wcześniej nosił bez przeszkód, i teraz pragnął mieć je odnowione. Mira musiała ściągać wszystkie swoje pracowniczki do sklepu na cały dzień, a czasami Arica i kilka innych i tak zostawało po godzinach, aby wyrobić się z zamówieniami. Przynajmniej sieroty Miry brały skórę do pomocy i od razu przynosiły narzędzia, które w danej chwili były potrzebne. Dziewczynka, którą Arica poznała prawie dwa miesiące temu, wychudzona, jednak znacznie czystsza, pomagała dziewczynie najbardziej.

Mira nie czuła się dobrze z tym, że tak wyzyskuje wszystkie pracujące dla niej dziewczyny. Niektóre pracownice zaczynały już uskarżać się na pęcherze na palcach lub rany po zszywaniu podeszw i nie pojawiały się w pracy, a butów z każdym dniem przybywało. Czasem zdarzało się, że przy stanowiskach, czy to w środku domu właścicielki zakładu, czy na zewnątrz, siedziało tylko sześć dziewczyn. Mira zatrudniała piętnaście.

- Panny o takich delikatnych dłoniach nie powinny wykonywać takiej roboty - powtarzała przynajmniej raz dziennie, kiedy zabierała odnowione obuwie do składziku, gdzie miały czekać na swoich właścicieli. Zanim sześć dziewczyn wracało do domu, kobieta przyglądała się ich rękom i tłumaczyła, jak radzić sobie z drobnymi urazami, aby szybciej się goiły. - Arico, twoje dłonie wyglądają najgorzej - powiedziała jej kiedyś, gdy tylko ona została wieczorem w sklepie. Dziewczyna uśmiechnęła się wówczas krzywo.

- Brzmisz jak moja pani matka.

- Nie mam zamiaru podważać jej autorytetu - odparła w defensywie. - Większość tego, co mówiła, jest prawdą.

Arica nie mogła nie zaśmiać się, widząc, jaka wymijająca potrafi być Mira, kiedy rozmawia o matce dziewczyny. Ale taka była prawda. Arica zawsze słyszała, że ma dłonie kowala. Ojcu jakoś to nie przeszkadzało.

- Kiedy koń szarpnie za wodze, będziesz umiała go przytrzymać - powtarzał za każdym razem, kiedy jego żona poruszała temat delikatności dłoni.

Dziewczyna nie mogła się jednak nie zgodzić z Mirą. Palce miała pełne świeżych, starych oraz pękniętych pęcherzy, paznokcie często połamane, pod nimi zbierał się brud, a wewnętrzna strona jej dłoni wyglądała, jakby jakiś kot ją podrapał. Arica nigdy nie przypuszczała, że można mieć tak zniszczone ręce.

- Spójrz na to - odparł Dannyl, gdy dziewczyna poruszyła podczas jednej z kolacji temat dłoni. Pokazał jej swoje ręce - wyglądało to tak, jakby rany w kółko tworzyły się na poprzednich i nie miały czasu, aby się zagoić. - W kuźni też dostaję wycisk.

- Niedługo to się skończy - powiedziała, starając się być dobrej myśli. - Kiedy tylko pokonamy Skagosów, wyjedziemy na kilka dni z miasteczka - uśmiechnęła się do chłopaka lekko.

Ale on w pełni nie odwzajemniał jej entuzjazmu. Z tyłu głowy wciąż siedziała mu myśl, że może nie mieć okazji wyjechać na wieś i odpocząć. Wolał jednak nie zadręczać Arici swoimi przemyśleniami. I tak miała już wiele trosk. Uśmiechnął się więc do niej lekko, trochę krzywo, skończył jeść cienki gulasz ze środka pieczonej dyni, powiedział wszystkim dobranoc i poszedł spać.

*"Skagosi budują statki. Może siedem okrętów, znacznie masywniejszych od tego, który zaatakował nas niedawno. Wszędzie widać broń. Plaża zdaje się błyszczeć, kiedy świeci na nią słońce, tak jej dużo. Zapewne nie jest strasznie ostra, ale na pewno skuteczna. Ludzie wciąż kręcą się po wybrzeżu. Głównie wojownicy - kobiety i mężczyźni. Wysłaliśmy Jareda na zwiady. Zdołał usłyszeć, że dzicy wyruszą za dwa tygodnie. Mają czekać na posiłki z północy, ale nie wiemy, o kogo im chodziło."*

Burmistrz nie zamierzał ukrywać przed mieszkańcami miasteczka treści listu. Dwa dni po otrzymaniu wiadomości wygłosił przemowę do ludności o tym, co ich czeka, i czego on od nich oczekuje. Po raz pierwszy od dawna na placu targowym było całe miasto. Nigdzie nie stały stragany, nikt nie wychwalał swoich produktów - wszyscy słuchali w grobowym milczeniu czarnych słów przyniesionych przez czarne skrzydła.

Budowę muru ukończono na trzy dni przed przybyciem Skagosów. Jeżeli, oczywiście, wiadomości od zwiadowców były prawdziwe. Ogrodzenie było wysokie na czterdzieści pięć stóp i grube na pięć. Od wybrzeża dzielił je dość duży fragment wody, więc na szybko zbudowano szerokie mosty, aby łączyły mur z lądem. Na wyłożony deskami szczyt - przypominający flanki porządnej, zamkowej blokady - prowadziły drewniane schody, które czasami skrzypiały tak przeraźliwie, że Dannyl przyłapywał się na tym, iż wątpi w ich trwałość. A przecież część drewna, które przeznaczono na zbudowanie stopni, rąbał siekierą we własnej osobie. Może te wszystkie obawy to tylko jego imaginacja.

Od razu po zakończeniu budowy człowiek, który pełnił funkcję do niedawna zajmowaną przez Dannyla - dowódca straży miejskiej, a teraz jeszcze armii broniącej miasta - wystawił straże i wyznaczył warty. Nagolennik zdołał przekonać go, aby to on wybrał ludzi zajmujących poszczególne stanowiska. Po podaniu kilku twardych argumentów mężczyzna zgodził się na wyznaczenie połowy i do końca dnia chłopak miał ręce pełne roboty.

Aż wreszcie...

Tego dnia było spokojnie. Bardzo pochmurnie co prawda, ale słońce dziarsko walczyło z obłokami i czasami rozjaśniało miasteczko na krótka chwilę. Mewy latały nad głowami strażników, krzycząc albo do siebie, albo na ludzi. Powietrze było wilgotne i mur zdawał się pocić, kiedy po połączonych zaprawą kamieniach spływały kropelki wody. Każdy powiew wiatru był zbawieniem, dlatego dużo ludzi kręciło się po kładce na szczycie barykady.

Och, a potem znowu wszystko zaczęło się od krzyku.

Na blankach na samym środku muru siedział chłopiec. Umazany popiołem, ubrany w szare ubrania, wyglądał trochę jak chimera zdobiąca mur w posiadłości ojca Dannyla. Już sama jego obecność wywołała ogólne poruszenie wokół małej armii, ale to nie było teraz najważniejsze. Kilku mężczyzn podbiegło do dziecka i zapytało go, o co chodzi. Chwilę potem ci sami ludzie zbiegali po śliskich, zdradzieckich schodach i pędzili do siedziby dowódcy ulokowanej w oberży Rossaca. Dannyl zdążył jedynie odprowadzić ich wzrokiem, po czym ktoś dotknął go w ramię od tyłu i wcisnął małego chłopca w ręce.

- Ej, ty, podobno szybko biegasz. Przydaj się więc. Zanieś go do matki. To krawcowa, znajdziesz ją niedaleko sklepu z rybami. Powiedz jej, żeby zaalarmowała resztę miasta - usłyszał tylko, a później został popchnięty do przodu z dzieckiem między nogami. Chłopak obrzucił plecy oddalającego się mężczyzny niechętnym spojrzeniem, stłumił niezadowolone westchnięcie, a następnie popatrzył na gapiącego się nań dzieciaka. Spróbował uśmiechnąć się do niego przyjaźnie, tak jak umiała to robić Arica, ale zamiast tego chyba wykrzywił usta w grymasie. Złapał chłopca za rękę i poprowadził w dół schodów, a stamtąd do sklepu jego matki.

Twarz kobiety, kiedy usłyszała o nadciągającym zagrożeniu, najpierw poszarzała, a zaraz potem stężała. Pokiwała głową ze zrozumieniem, zniknęła we wnętrzu swojego domu, i Dannyl mógł wrócić na mur.

- Zwołaj łuczników! - krzyknął do niego jakiś gwardzista biegnący w tym samym kierunku co chłopak.

- Czemu ja? - zdziwił się.

- Poprzedniego człowieka gorączka trzyma w łóżku. Ruszaj się!

Dannyl zmienił kierunek biegu i teraz pędził w stronę wielkiego domu rozkoszy, który na czas ataku został przemieniony w dom dla łuczników. Gdy chłopak chciał wpaść do środka i zebrać całą ekipę, napotkał opór zaryglowanych drzwi. Kopnął w nie kilka razy, zdzielił pięścią, aż wreszcie Jory pojawił się w wejściu z niezadowoloną miną oraz brwiami uniesionymi do góry. Wolną dłonią przecierał zaspaną twarz.

- Co się dzieje? - mruknął, w połowie wciąż tkwiący w krainie snów.

Dannyl pod wpływem emocji zarzucił mu ramiona na szyję i przytulił mocno. Poczuł, jak ciało Jory'ego całe się spina, a po chwili odrobinę rozluźnia. Dannyl zadygotał.

- Jory... Oni tu są. Płyną do nas.

Więcej mówić nie musiał. Jory z niespotykaną delikatnością puścił go, po czym zniknął we wnętrzu domu rozkoszy na zaledwie dwie minuty. Dla Dannyla były to godziny. Kiedy wrócił, ubrany był w swój najlepszy strój z utwardzanej skóry, a przez ramię przewiesił sobie dwa kołczany ze strzałami oraz łuk. Wychodzący za nim mężczyźni i, o dziwo, chłopcy, nieśli podobną broń. Dannyl z zaskoczeniem zauważył, że dzieciaki mają bardziej zdeterminowany wyraz twarzy niż dorośli. Poczuł na sobie spojrzenie wszystkich zebranych i przerwał rozmyślanie.

- Za mną - rzucił tylko i już biegł z powrotem do muru. Grupa pięćdziesięciu łuczników podążała razem z nim. Buty wybijały szybkie tempo na kocich łbach tworzących ulice miasteczka, a echo ich kroków odbijało się od ścian budynków.

Kiedy wreszcie dotarli do portu, cała armia była już na nogach. Mali chłopcy, których zatrudniono jako "giermków" (w ich szeregach było może z czterech prawdziwych rycerzy), biegali w te i z powrotem ze zbrojami, listami lub jedzeniem, kilka odważnych kobiet kręciło się na blankach z bronią, a mężczyźni ubierali się w kolczugi i hełmy. Dannyl, przyglądając się ich zbrojom, czuł, że są z góry skazani na przegraną.

- Mawiają, że nadzieja matką głupich - mruknął Jory do jego ucha, najwyraźniej widząc jego reakcję na uzbrojenie armii. Jeśli w ogóle można ją było tak nazywać.

W pół godziny wszystko było gotowe. Włócznicy stacjonowali teraz na blankach i czekali na bliskie spotkanie z wrogiem, piechota stała na tratwach schowanych za zachodnią krawędzią muru, aby, gdy tylko walka rozgorzeje, dokonać abordażu łodzi dzikich i zniszczyć jak najwięcej z nich, a łucznicy oczekiwali na rozkazy z lądu za ogrodzeniem. Dannyl ubolewał nad faktem, że największą część walczących stanowi piechota, dlatego też żywił nadzieję, iż strzelcy potrafią walczyć białą bronią.

- Gdzie oni są? - zapytał któryś z włóczników po dłuższej chwili czekania. Dannyl spojrzał nań z niedowierzaniem. Śpieszyło mu się do walki?

- Dannylu, co się tam dzieje? - krzyknął Jory z dołu. Chłopak zerknął jedynie przez ramię na łuczników, po czym wytężył wzrok i spróbował odnaleźć w otaczającej port mgle jakiekolwiek statki. Ale nie dostrzegł nic - tylko biel oraz to, co go otaczało.

Usłyszał, jak ktoś szybko wbiega po schodach na blanki, ale zignorował to. Pewnie jakiś giermek biegł z rozkazami od dowódcy do któregoś z jego przełożonych na szczycie muru. Nim zdołał zobaczyć, kto biegnie, Arica pojawiła się obok niego i objęła jednym ramieniem w pasie. Odwzajemnił ten gest, pozwalając sobie na moment rozluźnienia.

- Jest tak cicho - szepnęła zapatrzona w dal. Chłopak pokiwał tylko głową na znak zgody. Zawiał silny wiatr, który zawył donośnie w szczelinach muru.

A zawył na tyle głośno, aby nikt nie usłyszał świstu, z jakim strzała wynurzyła się z mgły i wbiła w gardło włócznika kilka metrów na prawo od Dannyla. Ludzie stali oniemiali i patrzyli, jak mężczyzna spada do tyłu z szeroko otwartymi oczami oraz bladą twarzą. Zaraz potem pojawiły się kolejne strzały i kolejni ludzie spadali do wody za sobą. Gdzieś na prawym końcu podniesiono alarm, o czym świadczyły gorączkowe pokrzykiwania stłumione przez mgłę.

- Uciekaj stąd - Dannyl opanował się, ukląkł i zmusił dziewczynę do zrobienia tego samego. Chyba go nie usłyszała, ale - szczerze? - nie dziwił jej się. - Arica, posłuchaj mnie! - powtórzył głośniej. Spojrzała na niego wystraszona. - Uciekaj stąd! Biegnij po wszystkich ludzi, którzy tu zostali i zabierz ich na plac targowy. Roznieś wieści. Niech każdy wie, co się dzieje - znowu ktoś krzyknął, a jakaś włóczniczka wpadła do morza ze strzałą sterczącą z brzucha. - Już, uciekaj! - popchnął ją i patrzył, jak zeskakuje po schodach, a potem zaczyna niepewnie biec wzdłuż portu. - I, do cholery jasnej, nie oglądaj się za siebie!

Nie wiedział, czy go usłyszała, ale teraz to nie miało znaczenia. Wyprostował się nieco i wyjrzał zza blanki, żeby ocenić sytuację. *O nie.* Statki dzikich wypłynęły spomiędzy mgły właściwie niezauważone i teraz zacumowały zaledwie dwadzieścia stóp od muru. Skagosi strzelali z łuków, rzucali kamieniami i włóczniami. Chłopak dostrzegł leżące na pokładach ich kryp drabiny, a to nie oznaczało nic dobrego.

- Łucznicy! - krzyknął, samemu zdejmując łuk z ramienia i nakładając na cięciwę strzałę. Coś jakby syk rozległo się z tyłu - to strzelcy płynnie wykonali ten sam ruch. - Ognia!

Strzały poszybowały albo wysoko nad murem, albo tuż obok głowy Dannyla, pokonały mur i odnalazły swoje ofiary po drugiej stronie. Co najmniej dwie trzecie pocisków trafiło w dzikich, a pozostałe wbiły się w drewniany pokład.

- Strzały zapalające!

Ogień przeleciał dwa cale od jego policzka, a chwilę potem dziób jednego statku płonął jakby polany oliwą. Dzicy nie zaprzestali jednak ataku, a nawet więcej - szykowali się do użycia przygotowanych drabin. Potężni mężczyźni, na szczęście nie uzbrojeni, przenosili konstrukcje na dzioby, a następnie unosili je wysoko, przechylali, aż ostre haki zaczepiały się o blanki. Ludzie stacjonujący na murze próbowali rękoma zrzucać drabiny, ale niewiele to dawało.

Łucznicy pojawili się teraz na górze i ostrzeliwali wspinających się po drabinach ludzi. Było ich dziesiątki, a na miejscu jednego pojawiało się dwaj kolejni. Kątem oka Dannyl zobaczył, jak olbrzymy przystawiają się do postawienia trzeciej drabiny.

- Strzelajcie w tych osiłków! O tam! - krzyknął do otaczających go łuczników, samemu wyjmując strzałę z kołczanu. Powietrze dziurawiły setki pocisków latających w obu kierunkach. Chłopak odszukał ludzi niosących drabinę - teraz tylko jeden został przy życiu, ale świetnie radził sobie z targaniem takiego ciężaru. Dannyl, oparłszy strzałę na palcach lewej dłoni obserwował go uważnie. Coś drasnęło go w prawe ucho, więc na chwilę cały świat zawirował i dziki zniknął mu z oczu.

Ból był mocniejszy niż się spodziewał. Odrzuciło go nieco na bok, w głowie zadźwięczało.

- Wszystko dobrze? - czyiś stłumiony głos pojawił się w jego głowie. Zamrugał, zobaczył po lewej czyjąś twarz, zbył tę osobę ręką i z powrotem naciągnął cięciwę. Myślał, że od uderzenia minęła wieczność, a jednak tylko kilka sekund. Niosący drabinę człowiek nadal stał na nogach, choć z barku sterczały mu dwie strzały, w tym jedna z nich ułamana w połowie. Dannyl omal nie poczuł współczucia do tego dzikiego.

Naciągnął cięciwę, przez zakrwawione ucho przeszedł świst, ale strzała wbiła się w pokład tuż obok stopy mężczyzny. Chłopak powtórzył strzał i tylko drasnął go w łydkę.

- Ja to zrobię! - wrzasnął Jory, zapewne ze względu na roztaczającą się wszędzie adrenalinę. Szybko, jak błyskawica przygotował się do strzału i zanim ktokolwiek zdołał mrugnąć, dziki leżał na ziemi, a obok niego drabina oraz kilku przygniecionych nią wojowników. - Dannylu, idź na dół - chłopak postąpił kilka kroków do niego i ukląkł obok.

- Nie, mogę walczyć... - sapnął. Bogowie, jaki był zmęczony.

- Wiem, ale... - Jory nie dokończył, bo zobaczył coś wypływającego spomiędzy statków. - TARAN!

Potem był grzmot, wiadomość, że mur uległ sile rozpędzonej łodzi z ogromną sosną położoną wzdłuż niej w środku, zaprawa pozwalała upaść każdemu kamieniowi w obrębie piętnastu stóp od miejsca uderzenia. Mur się walił, i, na wszystkie piekła, walił się strasznie szybko.

Jory podniósł Dannyla z ziemi i obaj chwiejnym krokiem zbiegli po schodach na ląd. Tylko połowa ludzi, którzy oczekiwali na rozpoczęcie się walki, zdołała przetrwać do tego momentu. I po co? Teraz wszystko zdawało się być stracone.

Piechota biegała w popłochu po nabrzeżu. Okazało się, że walczący mają chwilę, zanim dzicy wznowią atak. Dannyl już chciał przegrupować oddziały, gdy podbiegł do niego dwunastoletni giermek.

- Skagosi wdarli się do miasta na północ stąd! Potrzebujemy ludzi! - wysapał, zatrzymując się przy nim i łapiąc oddech.

- Jory, zbierz dwudziestu ludzi i ewakuujcie miasto - Dannyl zwrócił się do łucznika stanowczym tonem. Gdy ten już miał odejść, złapał go za rękaw i dodał ciszej: - Dopilnuj, żeby Arica... Nikt z tubylców się tutaj nie znalazł. Znajdź im schronienie w lesie.

Jory obdarzył go przeciągłym spojrzeniem, po czym skinął na ludzi i już ich nie było. Dannyl ogarnął wzrokiem resztki jego armii.

- Wszyscy ci, którzy chcą walczyć, za mną.

Jakie było jego zdziwienie, kiedy ruszył za nim każdy mężczyzna.

Sięgnęli po miecze i ruszyli do walki - dzicy właśnie wylewali się na brzeg ze statków, które przecisnęły się przez wyłom w murze. Dannyl zrobił zamach, a jeden z napastników upadł na ziemię z rozciętym brzuchem. Jego ludzie radzili sobie lepiej, niż się spodziewał.

Mijał czas - minuty, godziny, dzień, może wieczność, a wrogów nadal przybywało. Ktoś już zdążył zauważyć, że dzikich nie ma końca. Dannyl musiał się zgodzić. Nie pamiętał już, ile razy rozciął komuś gardło, ile razy skrócił o głowę czy rozpłatał brzuch. Skagosów przybywało, a walczących z nimi ludzi ubywało.

- Dannyl!

Krzyknęła, a on zaklął w myślach, że w ogóle ją usłyszał. Ogłuszył walczącego z nim wojownika uderzeniem w głowę, upewnił się, że nic mu nie grozi, i podbiegł do Arici czekającej nań u wylotu jednej z ulic w otoczeniu Jory'ego, Rossaca i Baroga.

- Co ty tu robisz!?

Nie chciał zabrzmieć tak ostro.

- Zbierz ludzi. Uciekajmy, wszyscy! - powiedziała błagalnym tonem. Oczy lśniły jej od łez. - Zostawmy miasteczko. Potem je odbijemy - dodała zdesperowana.

Dannyl obejrzał się za siebie, na walczących wokoło ludzi. Myśl, że miałby teraz się poddać była nie do zniesienia.

- Nie, Arico - odparł spokojnie, patrząc jej głęboko w oczy. - Będziemy walczyć do końca. Jesteśmy tak blisko! - czuł, że dziewczyna stara się nie słuchać jego argumentów. - Może za chwilę zdarzy się cud? Nie oddam miasteczka bez walki!

- Dannyl...

Usta jej drżały, z oczu płynęły łzy, zadrżała, jakby była figurą z porcelany.

- Przepraszam - powiedział, widząc ją w takim stanie. Resztkami sił uśmiechnął się pocieszająco. - Może tutaj mają rozstać się nasze drogi?

Podszedł do jej konia, złapał za rękę i delikatnie pocałował. Dziewczyna patrzyła na ten gest oniemiała.

- Żegnaj.

- Dannyl!

Ale on pobiegł z powrotem do walczących. Arica już wciskała pięty w boki konia, gdy Jory złapał za jej wodze i powstrzymał. Spojrzała na niego wściekła.

- Wasza Wysokość, musimy jechać...

Odwróciła od niego głowę, spuściwszy wzrok. Cholera, musiał mieć rację w tym momencie?

- ...możemy nie mieć innej szansy. Od ciebie, moja pani, zależy los królestwa.

Niechętnie zawróciła wierzchowca i ruszyła za Rossaciem ulicą. Ostatni raz obejrzała się za siebie i odszukała w tłumie walczących twarzy Dannyla. Miał ją brudną od krwi, ale nie wiedziała, do kogo należała.

A Dannyl walczył. I to dzielnie. Razem z piętnastoma pozostałymi łucznikami powolutku odpierał atak grupy dzikich i spychał ich do morza. Byli już tak blisko zwycięstwa...

Gdy nagle brzuch rozerwało mu szarpnięcie, a on poczuł się jak zwierzyna łowna. Powoli spojrzał na dół i ujrzał sterczącą z jego brzucha strzałę. Jej koniec wystawał z drugiej strony jego ciała. Spojrzał w prawo na walczącego zaciekle chłopca i na własnych oczach zobaczył, jak dwa wprawne ciosy powalają go na ziemię. Poczuł skręt w żołądku, ale nie od strzały - uświadomił sobie, że posłał tych ludzi na śmierć.

Tymczasem Arica pędziła z powrotem do portu pomimo stanowczych protestów jej eskorty. Musiała tam wrócić.

Kiedy zeskoczyła z konia, który dopiero co zwalniał, musiała od razu uchylić się od lecącej strzały. Zobaczyła tylko, jak Dannyl upada bezwładnie na ziemię i już biegła do niego ile sił w nogach.

Pojawiła się nad nim jak anioł i przez chwilę myślał, że naprawdę nim jest. Ręką pogładził jej miękki policzek.

- Teraz wiem, skąd znam te rysy... - powiedział cicho, po czym odkaszlnął krwią. - Przepraszam, Wasza Wysokość.

Wyzionął ducha, Arica zawyła z rozpaczy i przylgnęła do jego ciężkiego, stygnącego ciała, a walka nadal trwała.

Epilog

*Rok później.*

- Dzisiaj wielki dzień - podjął Jory, widząc, że nikt nie ma ochoty na rozmowy. Może chciał poprawić Arice humor. - Długo na niego czekałaś, czy nie tak? W końcu korona wróci na swoje miejsce.

*Korona*. Słowo było dla niej takie bez wyrazu.

Wiedziała, że spróbował się uśmiechnąć. Doceniała jego starania, jednak nie miała choćby najmniejszej ochoty na rozmowy.

Służąca skończyła wiązać jej suknię na plecach, sprawdziła, czy włosy dziewczyny są dobrze uczesane, skłoniła się i wyszła. Jory podszedł do podestu, na którym stała Arica, i podniósł rąbek jej sukni, gładząc materiał między palcami. Ona nadal wpatrywała się w widok za oknem, na błyszczące niczym złoto morze. Puścił materiał, wszedł na stopień, stanął za Aricą i zmusił ją do spojrzenia w ich odbicie w lustrze, łapiąc ją delikatnie za ramiona i obracając. Dziewczyna momentalnie odwróciła spojrzenie z powrotem do okna.

- Zobacz, pięknie wyglądasz - powiedział do jej ucha, gładząc jej ramiona dłońmi. Na sam jego dotyk zrobiło jej się zimno. - Zmarzłaś - zauważył, więc sięgnął po swój płaszcz wiszący na krześle i okrył nim przyjaciółkę. - Poproszę służące o rozpalenie ognia, kiedy wyjdziemy. - Złapała za krawędzie odzienia, owijając się nim szczelnie. Kiwnęła tylko głową w podziękowaniu.

Miała ochotę krzyczeć. Upaść na kolana, rozpłakać się, iść w cholerę z pudrem na jej policzkach i barwnikiem na wargach, fryzurą i idealnie dopasowaną suknią. Bić Jory'ego po piersi, a potem przytulić tak mocno, żeby zmiażdżyć mu żebra.

- Nie powinnaś się smucić w takiej chwili - chłopak zszedł z podestu i stanął przed nią, zasłaniając sobą całe lustro. Strasznie wymężniał przez ten rok. - Coś się stało, Arico?

Milczała, a kiedy wreszcie się odezwała, głos miała słaby i cichy.

- Czy brakuje ci miasteczka, Jory? Czy żałujesz tego, co tam przeszliśmy? Czy żałujesz czegokolwiek, co wydarzyło się rok temu? - spojrzała mu głęboko w oczy. Nienawidziła siebie za to, że głos jej zadrżał.

- Nie, Arico, nie żałuję niczego - spuścił głowę ze smutkiem, a w jego głosie słychać było tęsknotę. - Żałuję tylko tego, że musieliśmy je opuścić - postąpił kilka kroków w jej kierunku i przytulił do siebie. Arica uczepiła się jego koszuli kurczowo. Poczuła, jak chłopak opiera podbródek na czubku jej głowy. - Może pozwolisz przeszłości zniknąć?

- Ale... - zaczęła płaczliwie.

- Cii... - przerwał jej od razu. - Wiem, o czym myślisz. Też go nie lubiłem, ale brakuje mi go - ku zaskoczeniu dziewczyny, chłopak zaśmiał się słabo. - Miał w sobie coś, co sprawiało, że ludzie do niego lgnęli.

Już płakała w koszulę Jory'ego, ale na tę uwagę roześmiała się przez łzy.

- No, a teraz nie płacz. Dannyl na pewno nie chciałby zobaczyć cię w takim stanie podczas ceremonii, co?

- N-nie chciałby... - przytaknęła, walcząc ze szlochem.

- Właśnie - sięgnął po chusteczkę do spodni i podał jej, aby przetarła twarz. - A teraz przetrzyj twarz i uśmiechnij się wreszcie. Jesteś taka piękna, a ta mina w ogóle ci nie pasuje - nie mogła zaprzeczyć, że to ją rozśmieszyło. Zobaczywszy to, Jory całkiem się rozpromienił. - I tak moim zdaniem lepiej wyglądasz bez całego tego pudru. A teraz chodź - podał jej ramię, które ona ujęła - kraj na ciebie czeka.

Wyszli z jej komnaty i skierowali się korytarzem w kierunku schodów. Ich kroki tłumiły zwierzęce skóry rozłożone na podłodze, ale i tak każdy wiedział, że nadchodzą. Wszyscy mijani ludzie zginali się wpół i prostowali dopiero wtedy, gdy oboje oddalali się na dobre kilka kroków. Arica poczuła ogarniający ją strach. Niczym rozpędzony powóz uderzyła ją świadomość, że za moment życie każdej osoby w kraju będzie zależało od niej. A co, jeśli nie jest odpowiednia do pełnienia roli władcy? Strasznie chciała, żeby historia zapamiętała ją jako dobrą księżniczkę, ale jeszcze bardziej pragnęła, aby ojciec znalazł się teraz u jej boku i podniósł na duchu.

Albo Dannyl.

Zeszli po szerokich schodach, pokonali kolejny korytarz, znowu stopnie, aż zatrzymali się przed wielkimi drzwiami prowadzącymi do sali tronowej. Klamki były złote, podobnie jak wszystkie ozdoby, a wszystkie pozostałe części - czerwone lub srebrne. Na lewym skrzydle wyrzeźbiono wizerunek lwa, a na prawym jastrzębia. Poczuła nostalgię, ale spróbowała zamienić ją w coś dobrego. Poskutkowało - do głowy wpłynęły jej szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa.

Odetchnęła głęboko i Jory zauważył jej niepokój.

- Też czuję tremę. A będę robić znacznie mniej od ciebie - szepnął, po czym oboje zachichotali cicho. Chłopak uścisnął jej dłoń ostatni raz, a następnie już miał się skierować do bocznych drzwi biegnących wzdłuż sali tronowej aż do jej końca, kiedy dziewczyna chwyciła go jeszcze za ramię.

- Jory... Dziękuję. Za wszystko - uśmiechnęła się szczerze po raz pierwszy tego dnia i z radością zobaczyła, jak twarz chłopaka też promienieje. Skłonił głowę, a potem zniknął w trzy razy mniejszych od wrót drzwiach pomiędzy wiszącymi na ścianach gobelinami.

Do uszu Arici dobiegła przemowa kapłana, która zapewne trwała już od dobrych kilku minut, a zaraz potem usłyszała, jak mówi:

- A teraz powitajmy naszą prawowitą władczynię!

To było jak piorun, który zmusił ją do zrobienia pierwszego, a później kolejnego kroku. Strażnicy otworzyli przed nią wrota i dziewczyna z wysoko uniesioną głową wkroczyła do sali spokojnym krokiem. Czuła na sobie oczy wszystkich zebranych tak, jak czuła krople deszczu podczas ulewy na całym ciele. Już na nowo miał ogarnąć ją niepokój, panika spowodowana strachem przed zrobieniem czegoś źle, ale dziewczyna pozbierała się szybko i przez resztę marszu czuła się nie najgorzej.

Na końcu, na małym podwyższeniu, stały dwa trony. Jeden miał ostre wykończenia, drugi łagodne. Arica pamiętała, jak na tym pierwszym siedziała jej zawsze opanowana i dostojna matka, a na drugim ojciec - człowiek o najcieplejszej wnętrzu, jakie kiedykolwiek poznała. Na ułamek sekundy ich obraz pojawił się przed nią, a następnie zniknął.

Przed podwyższeniem, z jego lewej strony stał kapłan, niedaleko niego Jory, a po prawej Mira w skromnej, ale szykownej sukience. Pomarszczona kobieta uśmiechała się szeroko, powstrzymując płacz, ale pozwalając łzom płynąć po swoich policzkach. Arica o mało nie rozkleiła się na ten widok.

Zaczęła się ceremonia. Kapłan wypowiadał słowa przysięgi królewskiej, a Arica powtarzała za nim słowo w słowo. Po chwili otrzymała złotą rękawicę, którą należało położyć na prawej dłoni, a chwilę później pałkę długości jej uda z imitacją lwiej głowy na czubku. Małe, czerwone oczy dzikiego kota błyszczały magicznie, ale nawet one nie mogły równać się z pięknem korony, którą czekała na swoją *prawowitą* właścicielkę na wyściełanej poduszce trzymanej przez małą dziewczynkę.

Gdzieś w połowie przemowy Arica odbiegła myślami daleko poza granice stolicy. Najpierw szybowała w chmurach i zobaczyła z góry lasy, pola i doliny, których panią miała za chwilę się stać. Potem na horyzoncie zarysowała się sylwetka Miasteczka Jeży - strzelistą wieżę świątyni oraz błyszczącą kopułę składającą się na dach domu burmistrza. Kawałek dalej malutkie statki pływały w kryształowej wodzie. Pozostałości po murze obronnym wciąż były widoczne. Może ludzie nie chcieli zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Zanim się spostrzegła, kapłan doszedł do najważniejszej części ceremonii - ostatniej przysięgi i koronacji. Do Arici podszedł chłopiec, który z ogromną ostrożnością odebrał od niej rękawicę oraz berło, po czym święty złapał ją za nadgarstek i uniósł ku górze.

- Czy przysięgasz bronić kraju za wszelką cenę i sprawiedliwie sądzić jego lud? - zadał pytanie.

- Przysięgam.

- Czy przysięgasz otoczyć ludzi opieką niezależnie od ich rasy czy religii?

- Przysięgam.

- Czy przysięgasz oddać życie za przetrwanie twojego kraju nawet, jeśli będziesz ostatnią ze swojego rodu?

- Przysięgam.

- A zatem od teraz po kres naszej ery rządzić będzie nami Arica Adelie, trzecia tego imienia, rodu Lussa i Eaglin! - kapłan wziął srebrną koronę z poduszki, po czym powoli ułożył ją na głowie Arici. Była zaskakująco lekka i zimna. - Niech żyje królowa!

Jak jeden mąż wszyscy padli na kolana i skłonili głowy. Nawet święty, choć widać było, iż jego kolana protestują. Arica uśmiechnęła się delikatnie i rozejrzała po sali. Była przepełniona ludźmi do granic. Nikt nie patrzył w górę poza...

- Och...

Na usta cisnęły jej się wszystkie znane przekleństwa, a potem różne słowa opisujące zaskoczenie i bezgraniczną radość, a oczy rozbłysły żywymi iskierkami. Najpierw powoli, po czym z prędkością światła opuściła podwyższenie i pobiegła pod okno wielkiej sali, gdzie stał Dannyl. Bez chwili namysłu zarzuciła mu ręce na szyję i schowała twarz w jego szerokiej piersi.

- Jak... Jak to możliwe? - wyszeptała tylko, ściskając go mocno ze strachu, że w innym wypadku może okazać się tylko wizją i zniknąć.

- Och, to długa historia - odparł, jakby widzieli się godzinę temu na piwie. - Mówiłem ci, że skądś znam te rysy... Wasza Wysokość.

I później nie było królowych i królów, koron i poddanych, obowiązków czy kraju, tylko ciepło jego ciała i to, że czuła bicie jego serca pod policzkiem.